

# Zacharyasiewicz Jan

## SUMIENNY KONKURENT

### *Studyum karnawałowe*

W salonie ładnie przystrojonym siedziały trzy młode kobiety. Jedna była szatynka, miała włosy karbowane, wysoko napiętrzone, i jasnoorzechową sukienkę ubraną w koronki. Druga rozpuściła jasnobłąd włosy na pulchne ramiona, przesłonięte z lekka suknią, różową. Trzecia brunetka, miała fryzurę a'la Pompadour, suknię szafirową i oczy czarne. Z żywej, dowcipnej rozmowy i głośnego śmiechu, można było od razu poznać niecierpliwie kandydatki do stanu małżeńskiego.

— Powiedz mi Luniu, — ozwała się szatynka do sukni różowej — wiele odkoszów zamysłasz dać tego karnawału?

— Ja? — odrzekła blada blondynka — alboż to odemnie zawisło?

— A od kogóż?

— Od konkurentów nieprzezornych!

— Od konkurentów nieprzezornych?... Każdy takim będzie, jeżeli sama zechcesz!

Blondynka zwiesiła główkę i zamyśliła się.

— Jabym tego nigdy nie chciała! — odrzekła po chwili —bo cóżby mi z tego przyszło?

Szatynka rozśmiała się głośno.

— Ach Luniu! — zawołała śród śmiechu —

jesteś jeszcze dzieckiem mimo lat... jesteśmy same... mimo lat dwudziestu! Błada Lunia zarumieniła się.

— Czyż to już tak wiele?—wyszeptała cicho i spuściła ciemnoszafirowe oczy do ziemi.

— Wiele nie jest,—żywo podjęła szatynka—

ja jestem już po dwudziestym....ale co innego

jest mieć lat dwadzieścia kilka i dać pół tuzina odkoszów, a co innego skończyć lat dziewiętnaście, bez żadnego zdeklarowanego konkurenta!

Brunetka w szafirowej sukni słuchała słów tych z wielką uwagą. Wzięła rękawiczkę do ręki i zaczęła bawić się guziczkiem.

— Czy sądzisz Misiu, — ozwała się półgłosem — że to grzechem jest dla panny, jeśli do lat dwudziestu nie miała żadnego konkurenta? Widać, że dotąd jeszcze nikomu się nie podobała, czyli raczej, że jej się nikt nie podobał.

— Ach! umrę z waszej naiwności, — żywo odparła szatynka — albo otwarcie wam powiem, że zostanieie staremi pannami! Panna powinna się zawsze i wszystkim podobać; powinna wszystkimi sposobami starać się o to, aby w koło niej było tłumnie i głośno, tak samo jak na targu...

— Ależ Misiu, — przerwała zarumieniona blondynka — gdzie targ, tam jest kupiec i towar, ale uczucia i serca tam niema!

— Kupiec i towar! Brzydkie na pozór słó

wa w sprawach serca!... ale powiedz mi Luniu, tak szczerze i otwarcie, czy w gruncie rzeczy nie jesteśmy towarem lub kupcem, mimo wszelkiego naszego starannie wykrochmalonego idealizmu?

— Żarty twoje idą dzisiaj za daleko kochana Misiu!

— Żartami nazywasz prawdę bez obłudy. Być może, że dawniej ludzie byli inni, że stosunki życia nie wiązały się tak ściśle z rzeczywistością, że zgoła można było spokojnie marzyć i po wysnione mary ręką sięgać. Wtedy to stworzono owe słowo: miłość—i o tem pięknem słowie pisano księgi, jako kodeks obowiązujący dla kobiet. Dzisiaj zmieniły się rzeczy. Z każdym rokiem przybywa nam więcej potrzeb, a coraz mniej mamy pieniędzy. Jakże z z dzisiejszych marzeń wyrugować pieniądze? A gdzie mowa o pieniądzach, tam niepodobna wymazać słowa: kupiec i towar!

— Mówisz nieznośnie!

— Bo chcemy być obłudnicami, chcemy się jeszcze stroić w sterane szaty idealizmu,—a tym czasem na widok bogatego konkurenta bije nam głośno serce, podczas gdy tysiące ubogich młodzieńców bez żadnego wrażenia koło nas przechodzą! Bądźmy szczerze i otwarte, cho

ciażby tylko dla siebie samych, a mniej będziemy miały rozczarowań i mniej żalu do świata i ludzi!

Poetyczna Lunia zamyśliła się a wyraz smutku przebiegł po jej bladej twarzy. Nie chciała ona za nic w świecie pozbyć się swoich przekonań; ale doświadczona szatynka uśmiechała się z ironią, patrząc na poetyczną pozę towarzyszkę i wierząc w gruncie duszy, że ta kunsztowna poza skompromituje się kiedyś w obec dwóch konkurentów, z których jeden będzie bogatszym od drugiego.

— Wracając do kwestyi o konkurentach.... ozwała się nieśmiało brunetka.

— Kwestya jest jasna i nie potrzebuje żadnego komentarza!—odparła szatynka.—Panna od roku siedemnastego powinna mieć konkurentów, powinna dawać odkosze, aby ludzie o jej egzystencji wiedzieli, i chociażby z ciekawości do niej się cisnęli. Panna bez konkurentów umiera dla świata, i niech naprzód każe sobie grób wykopać i pomnik starej panny postawić!

— Jakże sobie stworzyć konkurentów?

— Wszystkimi sposobami, które obojętnych zamieniają na konkurentów, a panny do niczego nie obowiązują!

— Taka gra na zimno nazywa się zbrodnią!—żywo przerwała Lunia.

— Jakiż trybunał pocztyta jej to za zbrodnię?

— Można przed trybunałem z pomocą adwokata sprawę wygrać i być czystym, a mimo

to w obec sumienia i opinii ludzkiej zostać zbrodniarzem i nikczemnikiem!

— Korzyść osobista wyższą jest nad opinię parafii. Tutaj kilku sąsiadów ozwie się o nas może nieprzychylnie, a tymczasem kurs nasz rozchodzi się na kilka powiatów.

Poetyczna Lunia powstała z krzesła, bo słowa przyjaciółki były dla niej dzisiaj herezyą. Powoli za nią podniosła się brunetka; ale jej twarz zamyślona okazywała, że jakkolwiek na teorię niedawno wygłoszoną wcale się nie zgadza, jednak uważa ją za temat godny zastanowienia.

— Chcecie odejść,—zagadnęła szatynka widząc, że towarzyszkę wybierają ię do odejścia — to idę z wami! Ale powiadam wam, że bez konkurentów jawnych i zdeklarowanych źle wyjdziecie! Dla waszego dobra postaram się o to, aby wam konkurentów napędzić, a przedewszystkiem aby sentymentalna Lunia mogła tego karnawału choć jednego dać odkosza.

Przy tych słowach rozśmiała się głośno piękna szatynka i serdecznie ucałowała swoje przyjaciółki.

Lunia chciała właśnie coś odpowiedzieć, gdy w przedpokoju ozwał się dzwonek, a zaraz potem wszedł służący z wizytową kartą do salonu!

— Fabian... — czytała piękna szatynka, a usta jej drżały złośliwym uśmiechem — pan Fabiyn! Ach, ofiara sama idzie do sieci! Zatrzymajcie się chwilkę! Wszak znacie pana Fabiana?

— Znam go moja duszko,—wyrzekła szybko Lunia — ale puść mnie, muszę iść, bo mama czeka mnie już od godziny!

— Pan Fabian, — chichotała dalej piękna szatynka zamyślonej brunetce do ucha — pan Fabian to człowiek stworzony do dźwigania koszów. Ma barki pochylone jakby do noszenia wiader z wodą!... Luniu, zostań! Zaklinam cię!

Lunia nie słyszała tych słów. Zarumieniona wymknęła się z salonu i w przedpokoju otarła się o granatowe palto słusznego wzrostu mężczyzny, który nie miał nawet czasu ją powitać.

Za Lunia, poważnym krokiem przesunęła się koło gościa imponująca brunetka, mierzając zpod oka przygotowaną do odkosza ofiarę.

Tymczasem zaprosił służący nowego gościa do salonu.

Nowy gość, którego piękna szatynka panem Fabianem nazwała, był wzrostu słusznego, i mógł liczyć, co najmniej, lat trzydzieści. Zdawało się nawet, że do tego wieku może mu roku lub dwóch lat braknie, i że tylko rozlana

po całej jego postaci powaga, to złudzenie sprawiała.

Twarz pana Fabiana miała rysy dosyć regularne, chociaż nie sprawiała doraźnego efektu. Błękitne oczy miały światło prawie jednostajne; przebijała z nich łagodność w parze z rozsądkiem. Na Wysokiem czole malowały się myśli poważne, i to właśnie tworzyło główną charakterystykę całej postaci pana Fabiana. Wyglądał on zawsze poważnym, a nawet wtedy, gdy tej powagi wcale nie było potrzeba. Osobliwie przy uśmiechu, owej koniecznej koncesyji towarzyskiego życia, wyglądała dziwnie ta jego powaga, której się wcale nie zrzekał, a którą dosyć niezręcznie z uśmiechem mieszać usiłował. To też sprawiało, że młode, chichotliwe panienki wybuchaly głośnym śmiechem w jego towarzystwie, a z poza jego pieców dawały sobie rozśmieszające hasła. Pan Fabian nie gniewał się za to wcale, a śmiech młodych panienek brał za naturalny objaw humoru i temperamentu. Nie przyszło mu nawet do głowy, aby śmiech taki mógł szkodzić jego pozycji towarzyskiej. Zapatrując się na wszystko ze strony poważnej, nie przypuszczał, aby niezasłużenie ktoś mu krzywdę wyrządzał. Pełen sprawiedliwości dla drugich, mniemał, że i dla niego nie może nikt być niesprawiedliwym.

Mimo to, zbytnia jego powaga nawet w rzeczach najdrobniejszych, i głęboka niczem niezachwiana wiara w uczciwość serca ludzkiego, robiły go wesołym towarzystwie trochę śmiesznym, z czego chciwy śmieszności dowcip skorzystać nie omieszkął. Tym sposobem stało się, że pan Fabian, nie wiedząc wcale o tem, był tarczą różnych dowcipnych pocisków, do czego jego bezprzykładna sumienność i otwartość szczególnie materiału dostarczały.

Taki człowiek stał dzisiaj przed wesołą szatynką, którą w towarzyskich kółkach znano pod imieniem pięknej, bogatej, ale złośliwej i kapryśnej Michaliny.

Michalina spojrzała z zapartym śmiechem na wyborną ofiarę, która w tej chwili nizki pokłon jej oddawała.

Pan Fabian nie przeczuwał, że był właśnie w najważniejszej chwili swego życia, która w konkurencyi miała dla niego stać się epoką. Żadne przeczucie, najmniejsze drgnienie serca, o którym mówią, że zawsze ostrzega człowieka, nie powiedziało mu, że stanął w tej chwili na zwrotniku życia. Z oczu Michaliny, prócz wesołości i nadziei rozmowy dowcipnej, nic także nie mógł wyczytać.

Michalina zmierzyla tymczasem nieświadomego swego losu gościa starannie od stóp do głowy, i poczuła już naprzód radość z projektowanego dzieła swego. Pan Fabian, z uwią

zanym u pochylej szyi koszem, wyglądał w jej fantazyi bardzo zabawnie.

— Przypomniałeś pan sobie życzliwych znajomych, — rzekła do niego z łagodnym uśmiechem—niech pan usiądzie, za chwilę wyjdzie cioteczka.

Pan Fabian nie miał powodu nie wierzyć tak przychylnym słowom pięknej dziewczicy; podziękował szczerze i serdecznie za afekt życzliwości i usiadł z całą spokojnością sprawiedliwego człowieka.

Ciotunia jakoś nie wychodziła tak prędko ze swego budoaru; znać uważała Michalinę za pełnoletnią i zdolną do prowadzenia interesów.

Mówiono wiele o rzeczach zwykłych codziennych, wczorajszych i przedwczorajszych. Pan Fabian z całą skrupulatnością człowieka sumiennego odpowiadał na wszystkie zapytania Michaliny, nie wymykając się żadnym dowcipem.

Po jakimś czasie, gdy już rzeczy codzienne wyczerpane zostały, rzekła Michalina do gościa:

— Jeżeli się nie mylę, karnawał tegoroczny będzie w plon obfity!

— Co pani nazywasz plonem karnawału?— zapytał z powagą pan Fabian, chcąc z całą sumiennością na rzucone zdanie odpowiedzieć.

— Plonem karnawału nie może być co innego, tylko małżeństwa. Czy zgadzasz się pan wtem ze mną?

Pan Fabian zmarszczył wysokie czoło swoje i odrzekł po chwili namysłu:

— Zgadzam się.

— Dla czego pan namyślałeś się?

— Namyślałem się dla tego, że ludzie zazwyczaj pokrywają ten główny cel każdego karnawału czczym pozorem bezwzględnej zabawy. Mianowicie odnoszę to do panien i kawalerów.

— Cieszy mnie to, że pana widzę tak samo otwartym dla mnie, jak szczerą jestem dla pana.

Pan Fabian uklonił się z powagą.

— Ponieważ już stanęliśmy oboje na polu otwartości, — ciągnęła dalej Michalina — to pana wcale dziwić nie powinny otwarte moje dalsze zapytania.

Pan Fabian podniósł się trochę z krzesła i siadł napowrót, na znak, że się zupełnie z tem zgadza. Michalina ciągnęła dalej:

— Ze panny wśród tańców karnawałowych oglądają się za ideałami swemi i marzą o ślubnym kobiercu, o tem nikt nawet wątpić nie powinien. Mówi się coś o bezinteresownej zabawie, o namiętności tańców, ale tem tylko okrywa się możliwą przegraną. Zdradzając więc przed panem grunt zamysłów płci mojej, spodziewam się, że mi pan nie odmówisz ze swojej strony potwierdzenia, że to samo praktykuje się i u panów. Nie prawdaż?

— Nie przeczę, — po krótkim namyśle odrzekł pan Fabian.

— Panowie uważacie karnawał za kampanię szukania żon przyszłych.

— Po większej części tak jest w istocie.

— Czy przypuszczasz pan wyjątki?

— Wszędzie muszą być wyjątki.

— Pan to mówisz z takim akcentem, jakbyś sam chciał do tych wyjątków należeć.

— Bynajmniej, mówiąc sumiennie, nie mogę zaliczać się do wyjątków.

— Więc otwarcie przyznajesz się pan do zamysłów matrymonialnych.

— Nie mam powodu z tem się taić. Wyszłoby to tylko na moją korzyść.

— Jestem wdzięczną za otwartość pana.

— Szczerość i otwartość, o ile te nie dotyczą się powierzonej tajemnicy, są obowiązkiem dla każdego.

— Przeciwnie; niektórzy kazał nam kryć się z myślami naszymi.

— To stosuje się do dyplomacyi; życie zaś człowieka nie jest dyplomacya.

Tu nastąpiła chwila odpoczynku.

— Więc pan przyjechałeś do stolicy, — mówiła po chwili Michalina, bawiąc się wstążką— aby wyszukać sobie towarzyszkę życia...

— Nie inaczej—z należyłą powagą odpowiedział pan Fabian.

— Cóż pana skłania do tego kroku?

— Najprzód naturalne pragnienie serca ludz

kiego, które coś żywo w życiu ukochać pragnie; potem, obowiązki względem społeczności, która nie z luźnych ludzi, ale z dobrze zorganizowanych rodzin składać się powinna.

Michalina przygryzła usta, aby śmiechem nie parsknąć na ten moralny wywód instytucji małżeństwa. Mogło się zdawać, że w jej wyobrażeniach, instytucja małżeństwa nie wychodziła nigdy ponad ładny salon w stolicy, lożę pierwszopiętrową w teatrze, ekwipaż i podróż za granicę!

— Pan z należyтым namysłem przystępujesz do tego ważnego kroku, — mówiła dalej z udaną powagą — czy nie masz pan w tych chwalebnych zamysłach jeszcze postronnych jakich powodów?

Pan Fabian spojrział z uwagą na Michalinę.

— Jeśli się nie mylę, — odpowiedział szybko — myślałaś pani o długach, które zazwyczaj zmuszają kawalera do szukania żony posażnej.

— Nie, panie Fabianie, o tem nie myślałam — przerwała zapłonioma trochę Michalina.

— Wstydzisz się pani tego zapytania niesłusznie! — z powagą odrzekł pan Fabian — niestety! jest to zapytanie, jakie każda narzeczona powinna zadać swemu narzeczonemu, inawet nietylko od niego szukać na to odpowiedzi. Dzisiaj bowiem stało się małżeństwo prostą spekulacją, grą nieuczciwą i hazardową, w któ

rej obie strony wzajemnie siebie oszukać usiłują.

— Słowa panu nio odbieram, chociaż jeszcze raz powiadam, że moje zapytanie nie tyczyło się tego tematu.

— Zwyczajną grzeczność! Otwarciem pani wyznaję, że z mojej strony nie mam żadnych pobocznych powodów do zmiany stanu. Długów nie mam żadnych, chociaż mająteczek mej jest bardzo skromny. Nie wystarcza on mi na wycieczki do stolicy lub za granicę, nie wystarcza na karty i hulanki; ale wystarczyłyby zawsze na skromne potrzeby towarzyski życia, któraby po za strzechą, wiejskiego domku i obowiązkami rodziny, niczego innego nie pragnęła.

Michalina skrzywiła różowe usta i rozdarła koniec atlasowej wstążki.

— Pan bardzo poważnie zapatrujesz się na życie! — rzekła po chwili.

— Do tego zmuszają nas nasze obowiązki, a w nich kryje się prawdziwe szczęście.

— Szczęśliwy pan jesteś z taką filozofią życia!

— Zależy to od tego, czy kto chciałby podzielić ze mną tę filozofię, — odparł pan Fabian, patrząc z uwagą na Michalinę.

Michalina wytłómaczyła sobie po swojemu to spojrzenie. Puchowe jej usta zdrząły z wewnętrznej radości. Namyslała się chwilę. Być może, że liczbę nieszczęśliwych swoich konkurentów chciała teraz powiększyć o jednostkę....

ale trwało to tylko chwilę. Obejrzawszy pana Fabiana jeszcze raz od stóp do głowy, uśmiechnęła się z politowaniem. Zdawało się, że w tem zwycięztwie nie widziała wielkiego zaszczytu dla siebie — odstąpiła go ubogiej w podobne laury Luni.

— Pan wymówił teraz słowa wielkiej wagi, — rzekła po chwili rozkosznego zamyślenia — a to obowiązuje mnie do odpowiedzi, która również powinna być ważną dla pana.

— Słucham pani z całą uwagą.

— Czy w przedpokojach nie widziałeś pan osóbkę, która z rumieńcem na twarzy przemknęła się koło pana?

— Panna Ludwika...

— Czy nie odgadłeś pan, co ten rumieniec mógł oznaczać? Lunia zazwyczaj jest błądą.

— Zawsze ją taką widziałem!

— Zkądże ta nagle zmiana dzisiaj?

Pan Fabian zamyślił się z należytą powagą. Długo czas trwało jego zamyślenie.

— Słowa pani — rzekł w końcu — mogą mieć dwojakie znaczenie. Mogą one zawierać bardzo chwalebny przestrożę, abym fałszywego kroku nie uczynił\* który nie wypadłby na moją korzyść. Za tę przestrożę jestem pani wdzięczny.

Michalina tłumila śmiech w sobie, siląc się na odpowiednią w takiej sytuacji powagę. Spu

ściła w ziemię oczy, czekając dalszego domówienia pana Fabiana.

— Drugie znaczenie słów pani, — mówił dalej pan Fabian—jest również godne wdzięczności. Zręcznie zwracasz pani kroki moje w inną stronę, w czym widzę wielką życzliwość dla siebie.

— Żałuję bardzo, że na tych słowach poprzestać muszę, — rzekła z nieśmiałością Michalina — ale zwróć pan na to uwagę, że to powiedziała panu przyjaciółka Luni, która różne jej tajemnice posiadać może... Reszta od pana zależy! W tej chwili zaszeleściła suknią jedwabna, a do salonu weszła ciotunia wystrojona z nadzwyczajnym sumptem sztuki fryzjerskiej i modniarskiej.

Rozmowa przeszła na inne pole.

Ciotunia była gadatliwa jak sroczka, Michalina dowcipna i wesoła jak mały satyrek z orszaku upojonego Bachusa, a biedny pan Fabian odbijał od nich nader komicznie swoją tragiczną powagę, którą jeszcze ostatnie słowa Michaliny do najwyższej podniosły potęgę.

Pan Fabian wierzył bowiem mocno, że słów i skinień życzliwych ludzi lekceważyć nie można, i postanowił zaraz jutro udać się do rodziców Luni.

Panna Lunia miała ciemnoszafirowe oczy, staranne wykształcenie i dosyć problematyczny posążek. Rodzice prowadzili dom otwarty i starali się o wszelkie pozory pewnej zamożności. Często przyjmowano gości i starano się o stosunki rozległe.

Jest to już w naturze ludzkiej, aby nastrajać swoje wymagania do stosunków zdobytych. Być więc może, że rodzice Luni mieli wymagania nad stan swej rzeczywistości, a może też

jasnowłosa jedynaczka w ukrytych marzeniach swoich sięgała wyżej, niżeli na to rzeczywistość pozwalała. Zawsze jednak miały te marzenia grunt szlachetny, chociaż nie zawsze praktyczny. Marząc o świetnym zamążpejściu, nie wyrzekała się miłości, nie chciała za miły grosz się sprzedać, jak to nieraz czyniły jej towarzyski. Chciała pogodzić jedno z drugim, ukrywając starannie przed samą sobą prozaiczną stronę takiego rachunku.

Na taką osobę, stosownie do życzliwych skinień Michaliny, zwrócił teraz uwagę pan Fabian.

Lunie poznał już był dawniej i zaraz z początku powziął dla niej pewną sympatyę, która, przy sprzyjających okolicznościach, wystarcza aż nadto do przejścia w stan wyższego uczucia, co się pospolicie miłością nazywa.

Słowa Michaliny wytłómaczył sobie dosyć ogólnie. Nie sądził, że Lunia wprost się już

w nim zakochała, jako też z drugiej strony nie stał się od razu gotowym kochankiem. Rumieniec, który sam widział w przedpokoju, wziął poprostu za posłańca dobrej wieści, po którą dopiero sam miał wyruszyć. Był więc z jednej i drugiej strony grunt i racja do wzajemnego zbliżenia się, a reszta co Bóg da! Może nie tak rodzi się miłość poetyczna; ale pan Fabian nie był poetą, tylko człowiekiem zwyczajnym, chciał więc iść drogą zwyczajną do wielkiego celu życia, do którego wybierał się z sumiennością i rozważą pocziwego człowieka.

Stosownie więc do widoków, które się teraz przed nim otwierały, poszedł zaraz na drugi dzień do rodziców Luni.

Rodzice Luni byli ludźmi wyższej towarzyskiej ogłady, przyjęli więc gościa z należytą gościnnością i prosili go, aby od czasu do czasu o ich domu nie zapominał.

Lunia dla wszystkich bez wyjątku gości była uosobioną uprzejmością. Powitała pana Fabiana serdecznie i szczerze, zapomniawszy już dawno o słowach Michaliny, które poprostu wzięła za żart okolicznościowy. Pan Fabian widział w tym serdecznym przyjęciu zachęcenie dla siebie. Nie przypuszczał w żaden sposób, aby Lunia zostająca z Michaliną w tak ścisłych stosunkach przyjaźni, nic a nic o jego zamiarach nie wiedziała. Wziął

więc jej uprzejmość za dobrą, wróżbę i nie zbyt długo ociągał się z drugą wizytą. Za drugą poszła trzecia, czwarta i piąta, a w krótko zaczął regularnie chodzić co drugi dzień, co Michalinie dało powód porównania go z febrą. Z razu nie zwrócono na to w domu uwagi. Pan Fabian na pierwszy rzut oka nie wyglądał bardzo na konkurenta. Wysokiego wzrostu, z pochylonymi ramionami, z twarzą o wiele starszą nad wiek swej, patrzący na młode panny z taką powagą z góry, jakby chciał być ich dziaduniem, mógł łatwo uchodzić za zwykłego przyjaciela domu, który i gościa nudnego rozerwie, i do wista zamiast kołka siądzie, i małe dzieci na kolanach ukołysze. Taką rolę przypisywano mu z razu w domu rodziców Luni. Sama Lunia nie prędko spostrzegła się. Pan Fabian zawsze z największą powagą z nią rozmawiał, nigdy nie dowcipkował, ani żadnej psoty jej nie wyrządzał. Nie strzelał oczyma, nie robił domyślnych kalamburów, ani nawet ni razu nie ścisnął jej za różowe paluszki. Zbliżał się do niej zawsze z tak głębokim szacunkiem, jakby nie była zwykłą kobietą, ale królową świata; siadywał koło niej w tak przyzwoitem oddaleniu, jakby obawiał się dotknięciem powalać jej świętą szatę. Dziwną tę i niepraktykowaną dzisiaj cześć dla wybranej kobiety, wytlómaczono sobie

w domu Luni inaczej. Wzięto pana Fabiana za gościa bardzo przyzwoitego, który rozsądkiem swoim, powagą i przyswojoną nauką nadawał nawet zbierającemu się towarzystwu pewną okrasę, i z tego powodu był wygodnym i pożytecznym na swoim miejscu.

Gdy ojciec Luni był w niedobrym humorze, pan Fabian bawił wybornie starego pułkownika, słuchając z należytą powagą improwizacyj sędziwego weterana. Gdy gospodyni domu migrenę miała, damy kanapowe miały z niego wybornego towarzysza, który umiał je rozmową bawić przez trzy godziny nie otarłszy ani razu spoconego czoła. Słowem, pan Fabian był od wszystkich lubiony: od starszych dla poważnej rozmowy, a od młodszych dla oryginalności, jak się grzecznie wyrażano, która ich do ukrytego śmiechu pobudzała.

Zapytany z daleka o swoje stosunki majątkowe, odpowiadał szczerze i bez ogródki: że posiada bardzo mierny mająteczek, że tyle a tyle ma ornych gruntów, tyle łąk i tyle moczarów, i że przy oszczędnym gospodarstwie fortunka jego wystarcza na bardzo skromne życie.

Takie przymioty nie zalecały go bynajmniej na szczęśliwego konkurenta. To też panny z wyższą pretensją wymazały go zupełnie z szeregu możliwych epuzerów.

Zdaje się, że i Lunia poszła za tym przykładem. Poetyczna jej dusza wyśniła sobie wpraw

dzie skromny idealik, ale idealik ten stawał zawsze przed jej oczyma z pewnym pozytywnym dodatkiem, jakim pan Fabian nie mógł się poszczycić. Sam bowiem zaraz na wstępie przyznał się do bardzo skromnej fortunki.

To było powodem, że poetyczne serduszko Luni ani razu do niego nie uderzyło, ani nawet ukrytych jego intencji nie zrozumiało. Biło przy nim spokojnie jak przy dobrym znajomym, który co drugi dzień kilka godzin przy wieście lub beziku sumiennie przesiadywał.

Tak trwało kilka tygodni, dłużej jednak trwać nie mogło. Jedna z przyjaciółek powiedziała coś drugiej, druga trzeciej, a za kilka dni rozeszła się opinia, że pan Fabian jest konkurentem Luni.

Doszło to wreszcie do Luni. Lunia miała grunt duszy zacny i poczciwy. Nie chciała iść w ślady swych tuzinkowych lalek bezdusznych, którym się zdaje, że kokieteryą zwabione i niemilosierne pobite ofiary konkurentów, tworzą ponętą aureolę w około ufryzowanej a l'enfant główki dziewczycy.

Lunia zatrwożyła się gdy jej oczy otworzono, a nawet gorzko zapłakała. Zabolą ją myśl, że poczciwy człowiek może dla niej fałszywy krok uczynić. Wyobrażała sobie naprzód gorzki zawód tego człowieka i obwinała siebie, że do tego dopuściła. Jakkolwiek po ścisłym obrachunku sumienia do żadnej winy się nie

poczuwała, wyrzucała jednak sobie, że wcześniej zamysłów pana Fabiana nie odgadła i nie przestrzegła go zawczasu. Przypomniła teraz sobie wszystkie szczegóły jego zachowania się i dowiedziała się z przerażeniem, że pan Fabian rzeczywiście, chociaż w sposób nieco oryginalny, po jej rękę zmierzał.

Nie było czasu do stracenia. Trzeba było jak najspieszniej złe naprawić i w ostatniej godzinie dać panu Fabianowi do zrozumienia, że nadzieje jego są daremne.

Jakkolwiek sygnały Luni, odwrót panu Fabianowi nakazujące, były zbyt subtelne i ciche, zrozumiał je jednak pan Fabian i z należytą powagą nad nimi się zastanowił.

Nie uszło bynajmniej jego uwagi, że Lunia coraz więcej odwraca się od niego, że mówi z nim z pewnem niecierpliwem roztargnieniem, że czasem jego zapytań niby nie słyszy.... Raz nawet wcale nie wyszła do niego, gdy z ojcem przez dwie godziny grał bezika poobiedniego; a niedawno zadzwoniwszy do przedpokoju, usłyszał wyraźnie jej srebrny głosik, nakazujący służącemu gościa odprawić, gdyż w domu nikogo niema!

Wszystko to pozbierał z należytą powagą pan Fabian i poznał, że bita droga do szczęścia zaczyna mu się gubić. Były tu i owdzie ścieżki kręte... ale krętymi ścieżkami nie zwykł nigdy chodzić.

Chciał przedewszystkiem stworzyć sobie jasną sytuację. Ale zkądże świąłka dostać? Z rodzicami, z panną, nie chciał jeszcze mówić, bo sprawy swojej nie uważał za dojrzałą.

Poszedł do Michaliny.

Michalina przyjęła go dowcipnym uśmiechem, ścisnęła serdecznie za rękę i posadziła na sofie tuż koło siebie.

— W szczęściu zapomina się o życzliwych znajomych, — rzekła do niego, uderzając go figlarnie po szerokiem ramieniu—co, pan z sobą przynosisz?

— Nieszczęście! — z powagą odpowiedział pan Fabian i westchnął.

Michalina obróciła się żywo ku niemu.

— Czy się pan oświadczyłeś? — zapytała z ciekawością, a z oczu jej czarnych tryskały iskry nietajonej radości.

— Nie oświadczyłem się, — spokojnie odparł pan Fabian — bo do takiego kroku brak mi zupełnie podstawy.

I smutno zwiesił głowę.

Michalina przygryzła usta, aby nie parsknąć śmiechem nad tym widokiem rycerza smutnej postawy.

— Nudny pan jesteś, — rzekła po chwili— jakiej znowu podstawy potrzeba panu, aby się oświadczyć?... Czy masz pan podagrę?

— Podagry nigdy nie miałem, ale mam dobre oczy, które mi mówią, że nadzieja moja mnie zawiodła.



— Czy kochasz pan Lunie?

Pan Fabian przełknął, przesunął ręką po czole i odpowiedział z pewnym namysłem:

— To słowo „kochać” jest dzisiaj tak zużyte, że bez bliższego porozumienia się nie można niem w rozmowie szafować. Biały kolor jest kolorem aniołów i niewinności, a jakież to osoby używają dzisiaj najwięcej bielidła?... Nie weźmiesz mi pani za złe, jeśli w rozmowie to słowo ominę. Panna Ludwika jest dla mnie osobą sympatyczną, mam dla niej wysoką cześć i szacunek. Na tym gruncie, zdawało mi się, że dojdę do wyższego uczucia, i dotąd miałem wszelkie nadzieje. Od kilku dni jednak gwiazda moja przygasła. Nie wiem, czy kto plotkę na mnie zrobił, czy serce panny Ludwiki nagle innemu wrażeniu uległo, dosyć, że sygnalizowano mi odwrót.

— Odwrót... odwrót! To być nie może. Znam serce Luni i temu nie wierzę. Chociaż z nią o tak delikatnej sprawie nigdy nie mówiłam, sądzę jednak, że pan fałszywie widzisz. Serce kobiety jest często zagadką dla mężczyzny, a najbardziej wtedy, gdy kobieta najgoręcej kocha! "Wy tego nie rozumiecie!... Opowiedz mi pan, jakie mary cię przestraszyły.

Pan Fabian ucałował różowe paluszki pięknej orędowniczki i z całą otwartością wypowiedział się z tego co widział i słyszał.

Michalina słuchała go z uwagą. Śmiech wewnętrzny krążył po całej jej twarzy, aby gdzieś wybuchnąć, ale wszędzie musiał się cofać napowrót do głębi duszy.

Pan Fabian tymczasem opowiedział wszystkie swoje dobre i złe przygody, zwierzył się jej z mar i podejrzeń, które mu dalszą drogę zagrażały. Po niej jakimś namyśle ozwała się Michalina: — Z tego co od pana słyszę, nie mogę w żaden sposób wnosić, aby Lunia nagle stała się dla pana nieprzychylną. O ile wiem, nic nie zaszło w jej sytuacji, żaden nowy konkurent się nie zjawił. Jeżeli wolno tutaj robić jakie przypuszczenia, to te wypadłyby tylko na korzyść pana. Serce kobiecie czasem niecierpliwie się długim wahaniem konkurenta i wtedy udaje, że się od niego odwraca, aby tenże tem prędzej do celu zmierzał. Czasami znowu leży to w naturze serca naszego, że ma pewne grymasy, że chce siebie i kogoś zranić, aby potem tem mocniej pokochać. Dla tego radzę panu, nie robić żadnych niekorzystnych dla siebie przypuszczeń, a uchowaj Boże, bez jasnej przyczyny odchodzić. Wtedy jest się zazwyczaj odpowiedzialnym za własne szczęście i za szczęście drugiej osoby, której nie umieliśmy zrozumieć.

Pan Fabian z całą powagą i sumiennością zamyślił się nad temi słowami.

— Zresztą, — mówiła dalej przyjaciółka Luni — w najgorszym razie, bardzo wiele u kobiety może cierpliwość i wytrwałość mężczyzny. Nasze serce nieraz kocha z całym ogniem, a jednak chce być z pewnymi przeszkodami zdobyte; chce się przekonać, że nawet roztrwarta na drodze przepaść nie odstraszy kochającego mężczyzny.

Pan Fabian ciągle sumiennie myślał.

— Nie trudno nawet, — szczebiotała dalej Michalina — poznać ten maskowany odwrót serca kobiecego. Oko kochającego dojrzy w udanej obojętności tryskające iskry palącego się ognia. Czyż pan na te iskierek nigdy uwagi nie zwracałeś?... Czy nie przypominasz pan sobie tego kwiatka rzuconego niedbale na stoliczek, przy którym pan siedziałeś? Czy zapomniałeś pan, że podczas gry wybrała pana za opiekuna?

Michalina wyliczyła tutaj cały tuzin podobnych wydarzeń subtelných, na które pan Fabian powinien był zwrócić uwagę jako konkurent domyślny. Odmalowała mu żywo poetyczną duszę Luni, która na widok realnych zadań życia odwraca się płochliwie jak biała, szelestem listka strwożona gołąbka!... Z tego wszystkiego wyprowadziła wniosek, że pan Fabian, jako człowiek sumienny, nie powinien tchórzliwie uciekać z zajętego pola, ale wytrwałością i odwagą zdobyć sobie najpiękniejszy laur życia.

Panu Fabianowi uśmiechał się ten laur życia, to też i argumenta Michaliny znalazły przystęp do jego rozumu. Przypomniał sobie rzeczywiście kilka drobnych wydarzeń, na które dawniej uwagi nie zwracał, a które teraz były dla niego dowodem, że poetyczna Lunia nie jest dla niego obojętną. Zresztą sumienie i poczciwość nakazywała mu pozostać na zajętem stanowisku, póki cała rzecz nie rozstrzygnie się należycie.

Orędownicze swojej podziękował gorąco za jej dobre rady, i postanowił prowadzić dalej rozpoczęte dzieło, jak na poczciwego i sumiennego człowieka przystoi.

Po jego odejściu śmiała się Michalina długi czas szczerze i serdecznie, potem usiadła do fortepianu i dźwięcznym głosem zaśpiewała jedną z wesołych piosenek ulubionego swego Offenbacha.

Była to piosenka „Pięknej Heleni.”

Dwa miesiące minęło od tego czasu.

Pan Fabian z odwagą prawdziwego bohatera kroczył po ciernistej drodze konkurenta, który nie wiedział czy idzie do zwycięstwa czy do przegranej.

Była to praca prawdziwie herkulesowa.

Sumienna Lunia dawała mu codziennie sygnały, że od niej niczego nie może się spodzie

wać; ale sygnały te były tak uprzejme i subtelne, że pan Fabian jedne widział i rozumiał, drugich wcale nie widział, albo stosownie do rady Michaliny inaczej je sobie wytłómaczył. Do tego miała Lunia serduszko poczciwe i tklive. Czasem zabolala ją, że taką okrutną jest dla poczciwego przyjaciela domu; wtedy dodawała do swoich ostrzegających sygnałów tak serdeczny uścisk ręki i tak głębokie spojrzenie, że pan Fabian uznał za rzecz sumienia zapomnieć o sygnale a pozostać przy uścisku i spojrzeniu.

Do obalamucenia pana Fabiana przyczyniła się starannie wyrafinowana polityka poetycznej Luni. Chciała ona z mniemanego kochanka i konkurenta zrobić nieszkodliwego przyjaciela. Zmiana ta jednak frontu wśród boju była tak niebezpieczną, że pan Fabian nie biorąc niepewnej rzeczy nigdy za złą, wziął tę zmianę frontu za oddaloną nadzieję, za którą mu iść kazano.

Prócz tego był jeszcze jeden powód, który podtrzymał pana Fabiana na zajętem raz stanowisku. Powodem tym była dla niego opinia publiczna. Im jaśniej bowiem dawała mu Lunia do poznania, że za niego nigdy nie pejdzie, tem uporzycniej prześladowała go opinia publiczna, która w nim widziała szczęśliwego i już zdeklarowanego konkurenta. Znajomi i nieznajomi wieszowali mu tak pięknej narzecz

nej, a kobiety wiedziały już nawet, że Lunia wybrała sobie na ślub kościół. Franciszkanów dla tego, że pan Fabian na drugie imię nazywał się Franciszkiem.

Zkąd ta opinia się brała, trudno dociec. Być może, że pan Fabian sam dawał pozory do takiej opinii, która resztę sobie dopełniła.

Opinia ta uderzyła mniemanego konkurenta i często nie dała mu obaczyć sygnałów, które mu spieszny odwrót nakazywały. Mimo tych sygnałów, tak ze strony córki jak i rodziców, pan Fabian był jak dawniej tak i teraz prawie codziennym gościem.

Wreszcie przebrała się miarka, a natrętnego gościa trzeba było pozbyć się jakimś środkiem heroicznym.

Ponieważ sam nie oświadczał się, nje można mu było wyraźnie odmówić; podwojono więc tylko liczbę bateryj, które fortecy broniły.

Przejrzał wreszcie pan Fabian i po należytem zastanowieniu się uznał, że zaleconą przez Michalinę cierpliwość i wytrwałość wyczerpał do dna. Niemniej wyczerpał do dna chęć szczerą, aby nie krzywdząc ludzi, widzieć rzeczy w świetle jak najlepiej. Ciemność nieprzebita w postaci skały stanęła przed nim i rzekła mu zimnym głosem: Wróć się!

Pan Fabian postanowił wrócić się. W tym celu spakował kufer skórzany, pozapinał starannie wszystkie sprzączki i na poże

gnanie udał się do swojej niefortunnej orędowniczki, do której najmniejszego nie miał żalu.

Michalina z zadziwieniem spojrzała na podróźny kapelusz pana Fabiana.

— Cóż to, — zapytała — czy pan jedziesz na Bielany?

— Nie, pani, do domu! — odpowiedział z powagą smutną pan Fabian.

— Do domu?... Zbiegasz pan z pola?

— Kampania skończona!

— Oświadczyłeś się pan?

— Niema do tego potrzeby. Jasno jak na dłoni okazano mi, że nie mam się niczego spodziewać.

— Jak to? Półtrzecia miesiąca byłeś pan zdeklarowanym przed światem konkurentem, całe miasto mówiło o tem, opinia publiczna już oddawna żeni pana z Lunią, a pan teraz cichaczem uciekasz od panny?...

Cóż innego mam zrobić?

— Czy wiesz pan co to znaczy, jeśli trzechmiesięczny konkurent nagle od panny znika? Czy wiesz pan, że panna wtedy w opinii publicznej żywcem pogrzebana? Czy miałbyś pan serce zabić biedną Lunię na zawsze? Któż się potem do biednej zbliży, jeśli jeden protegowany przez opinię publiczną konkurent nagle i tajemniczo ucieka?... Nie, tego pan uczynić nie możesz!

Na czoło pana Fabiana wystąpiły sine pręgi.

— To co pani mówisz, jest świętą prawdą, — ozwał się po chwili — ale cóżem temu winien?

— Któż winien, jeśli nie pan? Czy Lunia pana kokietowała, czy przyciągała czem? Czy rodzice łapali pana?

— Uchowaj Boże! Panna Ludwika to zacna i czysta dusza! Ja tylko zbłądziłem, że jej uprzejme zachowanie się wyłómaczyłem sobie inaczej, na moją korzyść.

— Więc pan winienieś temu, żeś był ślepy,

żeś widział rzeczy, których nie było, żeś uporczywie odgrywał rolę konkurenta; pannę przed światem skompromitowałeś, a teraz uciekasz cichaczem, aby złośliwej opinii dać szerokie pole do domysłów, które pannę zabijają!

Pan Fabian zmarszczył wysokie czoło swoje i z nadzwyczajną powagą zamyślił się głęboko. Oddychał ciężko i szybko.

— Masz pani słuszność, — odrzekł po chwili, a twarz jego płonęła rumieńcem — nie zwracałem na to uwagi.

Rzeczywiście jestem winien: świat nie zna powodów mego odwrotu, i pannie Ludwice gotów wyrządzić wielką a niesłuszną krzywdę. W ślepotcie mojej popełniłem prawie zbrodnię... Ale jakże to naprawić można?

— Idź pan do panny i solennie oświadczyć się!

— Oświadczyć się?

— Naturalnie, dostaniesz pan kosza!...

— Kosza?

— Ale tym sposobem zakończysz pan rozpoczętą "sprawę jak na sumiennego człowieka przystoi. Świat nie będzie już miał powodów rzucać na biedną dziewczynę złośliwych podejrzeń.

Pan Fabian pochylił głowę i długo myślał. Po jakimś czasie podniósł twarz zmienioną, i oczy łzami zwilżone.  
— Wszystko jest słuszne — rzekł drżącym głosem — coś pani powiedziała. Dziwi mnie, że sam na to nie trafiłem. W istocie nierozwagą moją i ślepotą wyrządziłem pannie wielką krzywdę, i obowiązany jestem tę krzywdę naprawić. Michalinie trochę żal się zrobiło teraz, że pan Fabian tak seryo wziął jej słowa do serca, i już chciała rozbudzić jego tragiczną powagę serdecznym śmiechem, gdy ciocia nagle do salonu weszła i rozmowę na inne pole skierowała. Panu Fabianowi nie chodziło jednak o dalszą rozmowę. Przy pierwszej pauzie wstał z krzesła, i pożegnawszy nagle kobiety, szybko wyszedł z salonu.  
Zaraz na drugi dzień rozpiął pan Fabian napowrót swej podróżny kufer, dobył ; niego jak najcieńszą koszulę i jak najlepszy tużurek.

Ubrawszy się jak najstaranniej, jak na chwilę tak uroczystą przystoi, zwilżył trochę zimną, wodą krwią nabiegłe oczy i wyszedł na ulicę.

Na ulicy spotkał go dobry znajomy, któremu nawet przed tygodniem „na kilka godzin\* parę set złotych pożyczył. Znajomy zmierzył go okiem znawcy od stóp do głowy i rzekł żartobliwie:

— Gdybym był Człowiekiem złośliwym, sądziłbym, że idziesz oświadczać się do panny!

— Nie inaczej — z powagą odpowiedział pan Fabian.

— Co mówisz!

— Mówię ci prawdę.

— Przecież nie do Luni?

— Dla czego nie do Luni?

Znajomy spojrzął z uwagą na pana Fabiana. Jego twarz, głos i cały nastrej okazywał, że tu nie idzie o żarty, że pan Fabian na seryo coś zamyśla.

Pocziwy znajomy przypomniał sobie o nieuiszczonym jeszcze długu, przed tygodniem „na kilka godzin" zaciągniętym, i smutno mu się zrobiło, że przyjaciel jego jakieś głupstwo myśli wypłatać. Wziął go pod ramię i wyprowadził z pomiędzy ciżby przechodzących.

— Powiedz mi otwarcie Fabianie, co zamyślasz robić? bo mogę ci dać potrzebne wyj a

śnieni a. Czy rzeczywiście chcesz się Luni oświadczyć?

— Czy cię to zadziwia? — odparł z indygnacją pan Fabian. — Wszak przez trzy miesiące byłem zadeklarowanym przez opinię publiczną konkurentem panny Ludwika, z czem się wcale nie tailem!

— To prawda... prawda... ale widzisz kochany Fabianie, panna nie ma znaczniejszego posagu, a dzisiaj gospodarstwo na wsi potrzebuje pieniędzy...

— Tem lepiej dla mnie. jeśli przestanie na mojej skromnej fortunce! — z ironia, odparł pan Fabian.

Pocziwy dłużnik zasmucił się. Był on pewien, że tem wyjaśnieniem ochłodzi pana Fabiana. Byłaby to z jego strony delikatna przestroga przed grożącym kosztem. Przestroga ta jednak nie wywarła skutku.

— Zlituj się Fabianie, — mówił dalej życzliwy dłużnik — czyś dobrze obmyślił rzecz całą? Czy masz pewne powody, że Ludwika...

— Jak najpewniejsze! — krótko odparł pan Fabian.

Litościwy dłużnik zafrasował się nad zapalczywością swego wierzyciela. Znał on dom Luni doskonale, i widział sam często na własne oczy, jak panu Fabianowi dawano wyraźnie do poznania, że z nadziei jego nic nie będzie.

— Zastanów się dobrze nad tem, — mówił dalej do rozgrzanego konkurenta — bo to przecież ważny krok w życiu, a poniewierać siebie nie godzi się. Czy jesteś pewien, że Ludwika...

— Powtarzam ci jeszcze raz: jak najpewniejszy!

Dłużnik osłupiał.

— Przecież na was oboje pilnie patrzałem.... mówił dalej z prośbą prawie.

— Każdy człowiek dla siebie ma oczy najlepsze!

— Przeciwnie, oczy, które z boku patrzą, widzą lepiej i jaśniej.

— Wszyscy jesteście w błędzie!

— Dałby Bóg... ale ja poczuwam się do obowiązku, jako szczerzy twój przyjaciel, zapytać jeszcze raz ciebie: czy masz pewne, ugruntowane powody, że panna Ludwika...

— Proszę cię, nie nudź mnie! Wiem co robię!

— Zlituj się... coby to było, gdybyś naprzykład zamiast obrączki otrzymał... odkosza!

Pan Fabian zatrzymał się nagle.

— Wszak po niego idę!—odparł zdziwiony.

— Idziesz po to, aby wziąć kosza?

— Nie inaczej!

— I mówisz to tak spokojnie?

— Bo tego pragnę!

Pocziwy dłużnik był pewien, że pan Fabian zwaryował. Odstąpił krok od niego i obejrzał go do koła.

— Nie wiem, czy sobie ze mnie żartujesz, czy ci się co bardzo złego wydarzyło?—ozwał się do niego po chwili zdziwiony dłużnik.

Pan Fabian spojrział na pocziwą twarz dłużnika i poznał, że ten wcale go nie zrozumiał. Uznał więc za słuszne wytłómaczyć mu się otwarcie.

— Przepraszam cię, — rzekł do niego dobrotliwie — bo nieporozumienie było między nami. Myślałem, że jesteś jednym z tych, co to myśleli, że jestem już narzeczonym albo przynajmniej szczęśliwym kandydatem na męża panny Ludwiki. Wiem o tem, że taka opinia była po za nami.

— Prawda!—odparł dłużnik.

— Otoż opinia publiczna była w błędzie. Nie tylko nie dawano mi żadnej nadziei, ale nawet dosyć wyraźnie okazywano mi, abym się nie kusił. Ja jednak tego nie widziałem, czy nie chciałem widzieć, i uparcie chodziłem do panny przez trzy miesiące ze wszystkimi pozorami szczęśliwego konkurenta!

— Cóż ztąd?

— Ztąd poszło, że świat wierzył, iż ja już jestem po słowie, i łączył nas nawet razem w kościele OO. Franciszkanów. Tymczasem otworzyły mi się w końcu oczy, że ani panna, ani rodzice mię nie chcą!

— Więc nogi na ramię i do domu!

— Ba, a z panną co się stanie?

— Będzie czekała innego, bogatszego od ciebie!

— ?le bracie na nas się zapatrujesz. Panna nie będzie miała na kogo czekać, bo źle zawiadomiona opinia publiczna powie, że kawaler nagle porzucił pannę i że może być jakiś ważny powód do tego. A wiesz ty, co to znaczy, jeśli świat tak powie? Czy wiesz, że w takim razie jest panna stracona, bo każdy boi się tego ukrytego powodu, dla którego konkurent ją nagle porzucił?

Pan Fabian, gdy to mówił, miał twarz nadzwyczaj ożywioną. Oczy prawie wyszły mu na wierzch.

Dłużnik uśmiechnął się z politowaniem i odrzekł:

— Nie turbuj się o żadną pannę. Każda panna, jeśli konkurent od niej ucieknie, opowiada, w najlepszym razie, wszem w obec i każdemu z osobna, że go w żaden sposób pokochać nie mogła, i że chociaż jest człowiekiem zacnym i poczciwym, musiała w końcu dać mu poznać, aby na nic nie liczył! Będzie go nawet żałowała, wspomni coś mimochodem ó jego rozpaczy, coś mu przypnie... .

Pan Fabian zamyślił się nad temi słowami. — Taki jest pospolity los wszystkich kawalerów, którzy panny odbiegają. I ty więc Fabianie bądź spokojny, bo panna sama sobie pomoże, chociaż na twej rachunek!

— Nie, — odparł pan Fabian, nie mogąc się na to zgodzić. — Wiem, że zawiniłem, i poczuwam się do ekspiacyi mojej winy. Tak być zawsze powinno. Zresztą należy każdą rozpoczętą rzecz do końca doprowadzić. Pannie Ludwice należy się taki koniec, bo ja na niego zasłużyłem. Przed własnym mojem sumieniem muszę się oczyścić i dać mu zadośćuczynienie. Panna Ludwika musi z tej sprawy wyjść czystą i niewinną, jak czystą i niewinną była zawsze w obec mnie!... Czy piłeś już herbatę?

— Piłem.

— Ja dzisiaj jeszcze nic w ustach nie miałem. Wstąp ze mną do cukierni. I tak zawczasem jeszcze.

Obaj przyjaciele, czyli dłużnik i wierzyciel, weszli do cukierni. W cukierni zastali kilku znajomych. Jeden z nich, już sporo podtatusiały jegomość, przybliżył się do nich.

— Słyszałem rzekł do Fabiana, że dajesz nura przed panną Lunia. Słusznie robisz. Widziałem sam, jak cię tam łapano, ale dobry lis z ciebie. Przewąchałeś, że tam pustki i w czas drapnąłeś! Narobi to wprawdzie trochę hałasu, panna na kilka lat straci aureolę posagową, nim młody jaki dudek w epuzera urośnie i na muchę da się złapać

— Czy sądzisz, — zapytał pan Fabian z powagą— że to pannie może szkodzić?

— Moje pejsć spać na kilka lat! Zresztą zasłużyła sobie na to. Czyż to się godzi wodzić kogoś za nos nadzieją znacznego posagu, a potem zamiast pieniędzy ofiarować mu swoje czułe serce? Nieubłagany jestem na panny pozujące na świetną partyę, a łowiące tymczasem pięknymi słówkami bogatych konkurentów! Oko za oko, ząb za ząb!

— Czy sądzisz, że opinia publiczna tak samo jak ty usposobiona jest dla panny Ludwiki?

— Opinia publiczna? Opinia już ją w kawalki podarła. Wczoraj byłem na herbacie u pani Aurory. Któs przyniósł tam wieść, że porzucasz stolicę i z panny Luni rezygnujesz dobrowolnie. Było widzieć i słyszeć, co się tam wtedy działo! Panna Katarzyna skoczyła z radości i głośno powiedziała, że tego dawno się spodziewała, że każdy następny konkurent tak samo zrobi! Nie dopowiedziała nawet swego zdania, tylko dała do zrozumienia, że wie o czemś, czego powiedzieć nie chce!..

— Czy słyszysz?—ozwał się z powagą pan Fabian do swego dłużnika.

Dłużnik nic nie odpowiedział.

— Pan Agapit,—mówił dalej referent opinii publicznej, który formalny protokół panien na wydaniu prowadzi — uśmiechnął się znanym swoim uśmiechem, i wybąknął o Pannie Luni

kilka słów dosyć zagadkowych, których nawet powtarzać nie chcę!

— Słyszysz? — rzekł znowu pan Fabian do swego towarzysza, któremu papieros zagasł.

— Pani Tytusowa powiedziała, że rodzice Luni gonią ostatkami, że łapano już nawet pewnego bogatego Izraelitę; że panna u wód tamtego roku uczepiła się jakiegoś siwego generała z Nizogrodu, a po nim zarzuciła sieci na pruskiego bankiera, ale wszystko omyliło!

— Słyszysz? Vae victis!

— Mówiono także, że Lunia uczy się teraz krawiecczyny kobiecej, i zamyśla otworzyć magazyn form papierowych do kroju kostiumów damskich!... Złośliwi twierdzili, że stary półkownik, który ją zbyt często pod brodę głaszcze, zaproponował rodzicom pewny interes, nad którym się jeszcze namyśla Lunia...

Pan Fabian nie mógł dłużej słuchać reportera opinii publicznej. Zapłacił za herbata i wypadł na ulicę.

Ojciec Luni zapalał sobie właśnie cygare po herbacie śniadaniowej. Matka siedziała jeszcze przy stole, na którym właśnie co przestał kipieć samowar. Lunia dumiała nad prózną filiżanką, podparłszy białą rączką złotą główkę.

Na wszystkich twarzach odbijał się spókej wewnętrzny, a nawet jakieś zadowolenie. Zdawało się, że cały urąg.in opinii publicznej, który huczał po za nimi, nie przedarł się jeszcze do tego cichego i z komfortem urządzonego przybytku.

Lunia miała ranny negliżyk, w którym było jej bardzo do twarzy. Spódnica ifałdzista bluzka koloru hawana, odbijały od białej twarzy i żółtozłoty włosów. Ażurowy kołnierzyk wywijał się niedbale z pod gładko utoczonej szyi.

Śniadanie było dzisiaj spóźnione, bo wczorajszy wieczorek u pani Włodzimierzowej przeciągnął się sporo po północy, prawie aż do świtu.

Ojciec Luni spojrział na córkę, wydmuchnął siny kłęb dymu i zapytał:

— Czy pan Karol mówił wczoraj z tobą? Pan Karol był jednym z bogatszych epuze rów tegorocznego karnawału.

— Pan Karol? — powtórzyła z ironicznym uśmiechem Lunia—pan Karol nie myśli wcale o mnie! Mówił przez cały wieczór z panną Agatą!

Ojciec Luni zachmurzył czoło.

— Nieszczęściem dla panny—mówił dalej — jest zawsze, jeśli się do niej ktoś taki przyczepi, co kwalifikacyi na konkurenta nie ma, a jednak w oczach innych za konkurenta uchodzi!

— Ojczulko myślisz o panu Fabianie! — ozwała się Lunia i spuściła oczy na dno próżnej filiżanki.

— Poczciwy z kośćciami człowiek, ale któż tam zrazu myślał, że miał jakieś zamiary!

— I ja także nie przypuszczałam!—odparła cicho Lunia nie podnosząc oczu.

— Dobrze się stało że wyjechał!—dorzuciła matka.

— Byłbym w kłopotcie, gdyby mnie z nienacka o rękę Luni zagadnął. Bo jakże to zacnemu i poczciwemu człowiekowi powiedzieć, że wybrałeś się z motyką na słońce?

Lunia poczerwieniała trochę na twarzy.

— Na samą myśl—ozwała się—bije mi krew do głowy. Jabym się rozchorowała ze zmartwienia, gdyby pan Fabian rzeczywiście mi się oświadczył, a ja mu odkosza dać musiała!

— Przygotuj się na to, bo i to kiedyś nastąpić musi! — wtrąciła matka z uśmiechem zadowolenia.

Luni stanęły łzy w oczach.

— Niech mnie Bóg broni, aby to kiedyś nastąpić miało! Panna, która daje odkosza, dowodzi, że była kokietką.

Wprawdzie, aby być kokietką, nie trzeba koniecznie oczami zawracać, głęboko wzdychać i gestami mężczyznę do siebie przywoływać. Czasami odbywa się to w sposób tak subtelny, tak wyrafinowany, że świat widzi wzorową skromność, a nawet cza

sem i pobożność, gdy pod tem kryje się najwyszukańsza kokieterya! Dla tego jestem przekonana, że zawsze kobieta winna, jeśli mężczyzna bezskutecznie jej się oświadcza.

— Masz przesadzone o tem wyobrażenia!

— Panna, która daje odkosza, dowodzi, że i po ślubie będzie w podobnej sytuacji, w której trzeba będzie wyraźnie odmawiać żądanego afektu!

— Zkąd takiej filozofii nabrałaś? — zapytała z uśmiechem matka.

Lunia spuściła oczy.

— Az resztą—ciągnęła dalej Lunia—jakiegoż to tygrysięgo serca potrzeba na to, aby komuś sprawić tak straszny zawód, który często na całe życie pozostawia wrażenie niczem nie zatarte!

— Jesteś egzaltowana! Na tysiąc mężczyzn zaledwie jeden uczuwa głęboko taki zawód.

— Dobrze, a któż może zaprzeczyć, że nie ten jeden nam się oświadczył? Ja sądzę, że właśnie pan Fabian, który jest taki zacny i wszystko na seryo bierze, byłby tym jednym z tysiąca. Dla tego nie wymownie cieszę się z tego że wczoraj wyjechał, nie pokusiwszy się do oświadczenia o moją rękę. Zacny i poczciwy, ale ze łzami w oczach musiałabym mu dać odkosza.

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju.

Na nieszczęście służący gdzieś wyszedł. Dzwonek powtórzył się raz i drugi. Zdawało się Luni, że to listowy. Wstała z krzesła, i z lekkim sercem, bez najmniejszego przeczucia pobiegła do drzwi.

Obróciła klucz w zamku i—cofnęła się.

Na progu stał pan Fabian.

W pierwszej chwili chciała Lunia poprostu przeprosić niespodziewanego gościa; chciała powiedzieć, że rodziców w domu niema. Na nieszczęście zostawiła drzwi od jadalnego pokoju otwarte, przez które pan Fabian jak najwyraźniej widział ojca Luni palącego cygaro.

Serce Luni ścisnęło się niedobrem przeczuciem, ale nie było innej rady.

Pan Fabian z powagą wszedł do salonu.

Zrazu myślała Lunia, że najlepiej będzie, jeśli do pana Fabiana nie wyjdzie, tylko ojcu całą sprawę pozostawi.

Przeczuwała bowiem, że to o nią chodzi. Po krótkim jednak namyśle uznała, że tak źle będzie. Obecność jej, rzucone nieważem słówko może jeszcze burzę odwrócić i pana Fabiana na dotychczasowym stanowisku zatrzymać.

Postanowiła więc, bądź co bądź, wyjść także do salonu.

Wyszła więc prawie równocześnie z ojcem; matka dopiero za chwilę za nimi zdążyła.

Już sam widok pana Fabiana okazywał jasno, co się tu święci.

Pan Fabian był dzisiaj z niezwykłą, starannością ubrany. Miał na sobie tuż urek najnowszy, jakiego tylko w chwilach uroczystych używał. Szyja obwiązana była chustką czarną w małe białe prążki, co mogło oznaczać smutny i poważny nastrej wewnątrz. Rękawiczki były świeże, kamaszki lakierowane.

Taki ubiór kazał się domniemywać, że pan Fabian coś bardzo ważnego ma w zanadrzu.

Lunia zbladła i westchnęła.

— Cóż panie Fabianie—ozwał się ojciec siląc się na dobry humor — zawróciłeś z drogi? Czyś spotkał wilka czy kota?

Pan Fabian rozdał z należytą powagą trzy uściski swoją silną ręką i odparł:

— Tak jest, zawróciłem z drogi, bo mi w drodze stanął nie wilk ani kot, ale tygrys krwiożerczy!

— Tygrys! tygrys!—powtórzył ojciec i matka, i

— Każdy człowiek—mówił z namaszczeniem pan Fabian, — nosi w sobie anioła i tygrysa, i stosownie do okoliczności puszcza przed siebie jednego albo drugiego! Szczęśliwy, przed kim anioł rozwidnia drogę!

Pan Fabian westchnął tutaj. Oczy jego zwilżyły się i błysły jaśniej. Lunia zbladła jeszcze więcej.

— Ej! panie Fabianie, co nam tam po aniołach przed obiadem! zagadnął zartobliwie



ojciec. Może kieliszek koniaku albo char treuse?

Pan Fabian zmarszczył czoło.

— Uprzedzam państwo,—rzekł po chwili,—że dzisiejsza wizyta moja jest zbyt poważną, aby ją przyprawiać kieliszkiem koniaku. Byłoby to wielkiem ubliżeniem dla każdej kobiety, a mianowicie dla panny Ludwiki, dla której mam cześć najwyższą, aby przy brzęku kieliszków mówić o najważniejszej sprawie życia ludzkiego!

Po tych słowach było już wszystkim jasno, że pan Fabian dąży wyraźnie do oświadczenia.

Lunia zadrżała i spojrzała błagalnie na pana Fabiana, który miał teraz w oczach coś wyzywającego.

— Panie Fabianie—ozwała się drżącym głosem—jeżeli jest sprawa tak ważna, jak pan mówisz, czyby nie było lepiej odłożyć ją na czas inny? Często tak bywa, że sprawa, która nam się dzisiaj ważną wydaje, rozplywa się za dni kilka, jak sen złudny, z którego się potem sami śmiejemy!

Pan Fabian położył rękę na piersi. Twarz jego zarumieniła się rumieńcem szlachetnym.

— Jeżeli sprawę jaką nazywam ważną—odpowiedział głosem stanowczym,—to wierzą mi pani, żem nad nią niejedną noc bezsenność przemyślał! A wtedy zrasta się ona z naszym życiem, wchodzi nam w krew serdeczną i nie mo

zna jej tak prędko zapomnieć, jak się zapomina sen złudny, o którym pani mówisz!

Usta Luni zadrżały, oczy opadły na ziemię.

— Czy pan do tej ważnej sprawy upatrzyłeś stosowną sytuację?—zapytał ojciec wydmuchując dym z cygara.

— Zdaje mi się, że w porę zdążyłem!

— Nie lękasz się pan okrutnych złudzeń?—zapytała zcicha Lunia.

— Dopokąd obawiałem się złudzeń, siedziałem cicho. Dzisiaj nie mam już nic przed sobą, żadnych fata morgana, żadnych złudnych marzeń, mam pewność!

Oczy pana Fabiana zwilżyły się przy tych słowach. Odwrócił się szybko do okna, aby tymczasem z wilgoci oschły.

Lunia uczuła w sercu swoim wielką boleść. Widziała przed sobą człowieka zacnego i poczciwego, którego jednak nie kochała, a któremu odmowną odpowiedzią miała zadać cios bolesny. Do tego łączyła się jeszcze obawa przed opinią publiczną, która według jej sumiennej teorii obwini ją, że z nagannej próżności przywiodła poczciwego człowieka do tego, że się na próżno jej oświadczył!

— Panie Fabianie—ozwał się ojciec, widząc zakłopotanie córki—czybyśmy już na tem nie mogli tej rozmowy zakończyć i przejść do cygara i wista?

— Nie, panie—odpowiedział pan Fabian,—panna Ludwika ma prawo żądać, aby ta sprawa nie kończyła się na domyślnych półsłówkach!

— Zrzekam się tego prawa, panie Fabianie, i bądź pan przekonany, że sprawi mi to wielką radość, jeżeli pan za radą ojca pejdziesz.

Pan Fabian spojrział pełnym okiem na Lunie. Była ona w tej chwili tak piękną jak mały cherubinek. Twarz jej była lekko zarumieniona, w oczach drżały łzy, usta rozwarły się jak kielich kwiatu spragnionego rosy.

Westchnął nieszczęśliwy konkurent. Niebieskie oczy jego pociemniały, na twarz wystąpił rumieniec... Przypomniawszy sobie w tej chwili wszystkie sny swoje i marzenia, które wiązały się do tej kobiety, a od której teraz, może na zawsze się oddala!..

Lunia odczuła zapewne stan jego duszy, bo w jej oczach rozlało się jakieś uczucie litości.

— Pani możesz się zrzec swego prawa,—odpowiedział męzkim głosem,—bo jesteś kobietą wyższą nad wszystkie marne stworzenia tego rodzaju, jesteś nie tylko piękna ciałem, ale piękniejsza jeszcze duszą i sercem... ale mnie nie wolno przyjąć tego zrzeczenia się, bo to zniżyłoby mnie do poziomu, na którym nigdy stać nie chcę!

— Pan żądasz rzeczy niepodobnych! — szepnęła zcicha Lunia i spuściła oczy.

— Gdzie o sumienie i obowiązki nasze chodzi, tam nie powinno nic być dla nas niepodobnym!

— Moje sumienie nic mi nie wyrzuca...

— Nie oskarżam go bynajmniej; chodzi tu o moje sumienie i moje obowiązki.

— Mie możemy dobrze pana zrozumieć!—wtrącił ojciec Luni dosyć niecierpliwie.

— Zaraz się wytłómaczę, — odparł pan Fabian i spokojnie otarł chustką czoło.

Po niejakiem czasie zaczął:

— Nie będzie zapewne tajemnicą dla państwa, że bywając tak często w tym domu miałem pewne zamiary.

— Za pozwoleniem—przerwał ojciec Luni— bywanie nie wkłada na pana ani na nas żadnych obowiązków!

— I ja nie sądziłbym inaczej, gdyby ludzie szanowali cudzą sławę jak należy, i do najdrobniejszych wydarzeń nie przyczepiali ohydnych podejrzeń!

— Ja nic takiego, coby uwłaczało honorowi pana, nie słyszałem,—wtrącił ojciec.

— Przecież pan nikomu się nie oświadczałeś, ani odkośza nie dostałeś! — dorzuciła zrzęcznie Lunia, ostrzegając zapalonego konkurenta.

— Przyznam się—dodała matka, żeśmy o możliwych zamiarach przed nikim nic nie mówili!

— Ale moje zachowanie się było wymowne!

— Z zachowania się pana wносиłam tylko, żeś pan był przyjacielem naszego domu—rzekła Lunia.

— Pani jesteś szlachetną,, chcesz pani w pamięci swojej wymazać to, co tam zapisanego być nie mogło.

— Przecież w tem nie upatrujesz pan żadnej winy z mojej strony?

— Wina jest po mojej stronie. Byłem nieoględny i krótkowidzący. Zdawało mi się, że kobieta powinna tylko pokochać, i już jest szczęście gotowe. Tymczasem szczęście jest słowo względne. Jednym wystarcza zgrzebna koszula, inni potrzebują perkalu, a są tacy którzy bez batystu żyć nie mogą. Tego, przyznam się, nie miałem na uwadze.

Luni zaszyły oczy łzami. Coż ona temu winna, że z jej ideałem zrosły się koronki i batyst?

— W teorii panie Fabianie — ozwał się ojciec—jest wszystko ładne i dobre, ale i dla rzeczywistości trzeba nam zawsze także coś zrobić!

Pan Fabian mówił dalej:

— I najpraktyczniejszy człowiek zbłądzić może. Są ludzie, którzy na czole mają napisane komu służą, czy Bogu czy cielcowi. Z innymi trzeba pierwej zjeść beczkę soli, aby ich poznać. Osobliwie odnosi się to do kobiet. Gdyby kobieta była szczerą, nie byłoby żadnych nieporozumień, nigdy nie potrzebowałyby dawać odkosków. Ale rzecz się ma inaczej.  
Panna

zaczyna z mężczyzną od poezji, powiada mu, że o komfort, o bogactwa nigdy nie dba, że tylko za popędem serca pejdzie, a gdy mężczyzna do tego serca potem zapuka, okazuje się, że go tam dla tego nie puszczono, że nie był dosyć bogatym!... Cóż więc dziwnego, jeżeli mężczyzna okazywaną barwą się złudzi i jak parlamentarz spokojnie do zatkniętej białej chorągwi się zbliży, a tymczasem z fortecy powitają go strzałami...

— Czy masz pan tutaj kogo na myśli?—przerwała mówiącemu zarumieniona Lunia.

— Mam na myśli wszystkie panny, które w podobny sposób postępują—z powagą odparł pan Fabian—z wyjątkiem pani, która postępowaniem swoim dałaś mi dowody wysokiej przyjaźni i zbyt delikatnego kobiecego uczucia.... Rumieniec lekkiego gniewu znikł z twarzy Luni, a natomiast w oczach ciemnoszafirowych zamigotało przyćmione światło.

— Szlachetne postępowanie pani — ciągnął dalej pan Fabian — nie uwalnia mię jednak od wypowiedzenia tego, com tak długo ukrywał w piersi mojej, co tak długo stało przedemną jako ostateczny cel mego życia!

W oczach pana Fabiana błysnęły łzy.

— Wyświadczyłeś nam pan tem zaszczyt niemały—zagadnął ojciec—i jakkolwiek okoliczności nie złożyły się po temu, aby słowo mo

gło stać się ciałem, zawsze jednak pozostanie nam miła pamięć po chwilach razem spędzonych.

Ojciec Luni mniemał, że przykrą tę dla wszystkich sprawę tym sposobem zakończy.

Pan Fabian jednak nie dał tak prędko zbić, się z toru.

— Niechże do tej pamięci dorzucę szczerze wyznanie...

— Przecież pan białej chorągwi nigdzie nie widzisz!—przerwała Lunia, której twarz znowu pobladła.

— Szczerze wyznanie —ciągnął dalej z powagą pan Fabian — że nigdy w sercu mojem nie powstało rozkoszniejsze uczucie nad to, jakie mi dawała nadzieja...

— Przecież pan nikomu nie chcesz się oświadczać!—przerwała znowu przelękniona Lunia.

— Przeciwnie — mówił dalej nieustraszony pan Fabian,—przeciwnie, chcę wyznać otwarcie w obec rodziców pani....

— Żeś pan zawsze był życzliwym moim przyjacielem!— drżącym głosem podsunęła Lunia.

— Żem panią kochał i uwielbiał nad wszystkie kobiety tego świata...

Lunia była blizką omdlenia!

— MeJ Boże!—krzyknęła—stało się wielkie nieszczęście! Bóg świadkiem, jam niewinna!

— Że miłość ta stała się potrzebą mego życia, że bez niej widzę przed sobą tylko noc ciemną, zimną i samotność aż do grobu!

dy więc wczoraj z nadziei mojej zrezygnować i z miasta wyjechać postanowiłem, niezawiadomiona o właściwych powodach opinia publiczna rozgadała na wszystkie części świata, żem pannę opuścił!

Rodzice Luni spojrzeli z zadziwieniem po sobie. Twarz Luni zbladła.

— Wczoraj po różnych wieczorach rozmawiano o tem w sposób najrozmaitszy. Można się było przy tych rozmowach przekonać, jak złośliwi są ludzie, jak im lada pozoru trzeba, aby innych zabić! Panna Ludwika po takich rozmowach ucierpiałaby wiele, bardzo wiele!

Lunia otarła łzy z oczu.

— Nie będę tutaj powtarzał ohydnych podejrzeń, jakie rzucano na pannę Ludwikę, aby nagłą ucieczką konkurenta czemś upowodować! Rzucono się nawet na sławę domu...

— I pan chciałeś mnie idom nasz od potwarzy ocalić poświęcając siebie?—przerwała drżącym głosem zapłakana Lunia.

— Sumienie moje nakazywało mi tak uczynić. Rzeczy niejasnej dałem koniec dosyć jasny. Teraz dowiedzą się ludzie, że od panny milczkiemnie uciekłem, ale solennie oświadczyłem się i dostałem odkosza! Opinia panny Ludwiki będzie czysta i nienaruszona!

— Pan jesteś tak szlachetny!—szepnęła Lunia zasłaniając oczy chustką.

. — Wypełniłem tylko mej obowiązek Jeżeli pani będziesz szczęśliwą, niech ci wśród szczęścia stanie przed oczyma wspomnienie, że znałaś człowieka, który tak dziwnym postępowaniem chciał dowiedzieć, że cię czcił, kochał i uwielbiał nad wszystko w świecie... nad własną miłość!

Rzekłszy to pan Fabian otarł pot z zarumienionego czoła, uklonił się wszystkim, którzy z zadziwienia jeszcze do siebie przyjść nie mogli, i wypadł na ulicę.

Nazajutrz mówiono w całym mieście o tem zdarzeniu. Jedni mówili że pan Fabian jak zwykły śmiertelnik oświadczył się pannie i dostał odkosza. Drudzy mówili inaczej, jak to zazwyczaj bywa.

Dłużnik pana Fabiana poczuwał się jednak do obowiązku oświecić opinię publiczną i wszystko opowiedzieć jak w istocie było.

Lunia i rodzice nie robili również, z tego co zaszło, tajemnicy. Luni chodziło także o to, że nie dała zwykłego odkosza. Po tem wyjaśnieniu zyskał pan Fabian bardzo wiele. Pozorne jego dziwactwo przybrało cechę szlachetnego charakteru. Mówiono o nim coraz więcej i coraz lepiej, i powoli rósł w sławę bardzo zacnego i poczciwego człowieka.

Lunia o nim myślała dzień cały i całą noc bezseną; w drugim dniu nasłuchiwała się o nim

wiele pięknych i dobrych rzeczy, a trzeciego dnia położyła się do łóżka z wielką gorączką, która cały jej organizm opanowała!...

A teraz jakież koniec będzie? Nie wiem!

Podług mego zdania, Lunia, gdy wyzdrowieje, powinna, po tem co zaszło, pana Fabiana pokochać; powinna iść za niego z prawdziwej miłości. Po wydaniu córki za męża, powinni rodzice dom kosztowny w mieście zwinąć, a oszczędność ztąd uzyskana, podnieść majątek pana Fabiana do wystarczającej fortuny.

Takie byłoby moje zdanie, chociaż panna Michalina wcale się z niem nie zgadza. Utrzymuje ona, że pan Fabian za mało ma salonowego dowcipu, jest, jak na męża, zanadto poczciwy, a Lunia udatną swoją kibicią, klasycznym kształtem noska i małą nóżką mogłaby ułoić świetniejszą partyę, chociaż nie jest panną posażną!

Obawiam się, że przy pozytywizmie dzisiejszym, Lunia, idąc za radą Michaliny, łatwo może zostać... starą panną! Zresztą otwieram pole do powszechnej dyskusyi. Jeżeli która z pięknych czytelniczek

sądzi, że Lunia nie może iść za pana Fabiana, bo to sprzeciwiałoby się logice serca kobiecego; że kobiety, która nie kocha, żadnym choćby bohaterskim czynem do miłości zmusić nie można: w takim razie upraszam o udzielenie mi wszystkich w tym względzie zdań możliwych, z których przy powtórnej edycyi niniejszej powiastki sumiennie skorzystać nie omieszkam.

Krzywca nad Sanem, .

## CZEŚĆ DRUGA.

W Maju r.

Gdy w jesieni zeszłego roku Kronika Rodzinna, „Sumiennego Konkurenta”, drukiem ogłosiła, byłem pewny, że pan Fabian już dawno jest szczęśliwym małżonkiem panny Ludwiki, i że ulegając wymaganiom mody wywiózł ją na kilka tygodni za granicę, aby tym sposobem zjednać sobie jej przyjaciółkę, pannę Michalinę, która utrzymywała, że bez wyjazdu za granicę, nie można młodej żony pod strzechę rodzinną wprowadzić.

Tymczasem stało się inaczej.

Zaraz po ukończeniu mojej powiastki, w której tak szczerze dawałem rady pannie Ludwice, aby z panem Fabianem do ślubu ukłękła, nadeszły do mnie różne listy z protestem, że projektowane przezemnie małżeństwo w żaden sposób do skutku przyjść nie może.

Różne były powody tych protestów. W jednym z tych listów pisze rączka wyraźnie kobieca, że pan Fabian żadnej, cokolwiek wybredniejszej pannie podobać się nie może; że taka bezwzględna prawość i zacność jest za nudna, i że ciekawszym dla każdej kobiety jest spry

tny złoczyńca (wyraz bardzo niejasny), niżeli najzacniejsza chodząca prostota.

W drugim liście starano się dowieść, że serca kobiecego niczem nie można przekonać. Ono potrzebuje kochać,—a jeśli nie kocha, to żadne rozumowanie i namowy nie wzbudza w niem tego uczucia, które zazwyczaj miłością się nazywa.

Lunia, jak widać, nie kochała nigdy pana Fabiana; z czego wypływa, że pan Fabian żadnem, choćby największem poświęceniem się, nie może Luni zmusić do wzajemności. Może ona mieć dla niego litość lub szacunek, ale nigdy nie będzie go kochała. Mając jednak sumiennosc pana Fabiana na względzie, można się od niego spodziewać, że nie zadowolony się podobnym surrogatem szczęścia i Lunie zostawi temu, z którym więcej szczęśliwą być może.

Trzeci list ubolewa nad Lunia, która w związku z panem Fabianem szczęśliwą być nie może. W liście tym, pod płaszczykiem sentymentalnego idealizmu, przebija modny kubrak czcicieli Darwina. Autorka listu utrzymuje, że człowiek, jak każda inna istota, stosuje się do warunków swego bytu, i jest tem, co te warunki z niego urobiły. Jeżeli naprzykład zwierze jakie, bierze w siebie pewne pożywienie, to pożywienie wyrabia w nim pewne nawyknięcia i instynkta, których potem zmienić w żaden sposób nie można. Stosując tę zasadę do Luni, trudno od niej żądać,

aby idąc za pana Fabiana, zmieniła nagle całą swoją istotę. A do istoty Luni należy to wszystko, w czym ją wychowano. A wychowano ją do karety, do kostiumów pani Włodkowskiej, do łoża pierwszopiętrowej i do próżniactwa. Cóż się więc z jej istotą stanie, jeżeli pan Fabian za małżonkę ją pojmie a tego pokarmu jej nie da, na jakim ją wychowano?...

Wiele jeszcze listów mógłbym tu przytoczyć, gdyby czas i miejsce nie ograniczały mego zapędu.

Jednego przecież świadka odwodowego nie mogę przemilczeć.

Jest nim pan Dyonizy, zapalony przyjaciel pana Fabiana. Przyszedł do mnie smutny, z głową pochyloną na piersi, a westchnąwszy kilka razy, rzekł:

— Nie mam żadnych stosunków z panną Michaliną, Lunie znam tylko zwidzenia, a przyjaźń prawdziwa łączy mnie z panem Fabianem. Jeżeli więc o moim przyjacielu coś niekorzystnego powiem, będzie to dowodem, że tylko bezwzględna prawda zmusza mnie do tego.

Byłem przekonany, że o panu Fabianie nic złego powiedzieć nie można. Z ironicznym uśmiechem słuchałem jego przyjaciela, którego podejrzewałem, że jest owym dłużnikiem, który „na kilka godzin” od niego paręset złotych pożyczył.

— Za pozwoleniem, odezwałem się do pana

Dyonizego, nim dasz pan świadectwo o panu Fabianie, chciej mi naprzód powiedzieć, czynie pożyczałeś kiedy od niego pieniędzy? Pan Dyonizy spojrział z pogardą na mnie.

— Zasadą moją jest,—odrzekł,—od przyjaciół pieniędzy nie pożyczać. Ów dłużnik, o którym pan myślisz, nie tylko od pana Fabiana ale iodemnie często pożycza!

— Przepraszam—a teraz słucham pana!

— Pan Fabian, mej serdeczny przyjaciel... nie może, jak pan przewidujesz, ożenić się z Lunią!..

— Jak to! Tak szlachetny człowiek nie mógłby zniewolić tego złotego serduszka?

— Ten szlachetny człowiek popełnił błąd w ostatniej rozmowie z Lunią, co mu bezkarnie ująć nie może!

— Błąd?... Jakież błąd?—zapytałem przestraszony o losy pana Fabiana.

Pan Dyonizy uśmiechnął się z ironią.

— Ja nie chcę nikomu szkodzić, a tem mniej memu przyjacielowi, od którego nigdy pieniędzy nie pożyczałem. Nie chcę więc sam tego błędu wytykać, aby potem ludzie nie powiedzieli, że przyjaciela mego zgubiłem. Sądzę jednak, że znajdzie się ktoś, który ten błąd obaczy, i z niego na niekorzyść mego przyjaciela skorzysta. Ja umywam ręce i nie chcę być winnym... kosa, jaki po raz wtóry może dostać pan Fabian.

— Czyż może być Lunia tak okrutną?

— Na dobre serca najwięcej wpływa dowcipna złośliwość...

— Masz pan na myśli pannę Michalinę...

— Ja nic nie mówię... twierdzę tylko, że pan Fabian, jak na teraz, z Lunią się nie ożeni a to z własnej swojej winy.

Powtarzam, popełnił on przez porywcość swoją błąd, za który słusznie pokutować może!

Zamyśliłem się nad nieszczęśliwym losem mego wychowanka, i po niejakiem namyśle przekonałem się z przestachem, że pan Dyonizy ma słuszność.

Dowiodły tego dalsze losy pana Fabiana, o których się prawem autora dowiedziałem, a które w chronologicznym przebiegu szanownym czytelnikom Kroniki przedstawiam.

Gdy na początku wiosny zeszłego roku, pan Fabian w tak heroiczny sposób o Lunie się oświadczył, aby przynajmniej dobrą jej sławę uratować, odszedł do domu z sercem wprawdzie rozdartem, ale o tyle spokojniejszym, o ile w takim razie uspakajająco działa każdy szlachetny uczynek.

Pan Fabian dostał wprawdzie odkosza, ale miał teraz sumienie spokojne. Nikt nie mógł już powiedzieć, że Luni wyrządził krzywdę. Za nieuwagę zapłacił własnym kosztem, błąd po

pełniony naprawił, czem tylko naprawić było można. Świat złośliwy nie mógł teraz rzucić oszczerstwa na kobietę, którą on czcił i ubóstwiał, bo on sam nastawił mu grzbiet swej, na który posypały się razy z widoczną rozkoszą licznych spektato rów.

Widok takich spektatorów nic bardzo jest przyjemny. Czuł to pan Fabian i postanowił takiego widoku uniknąć, wyjeżdżając czempredzey z miasta.

Przywiązany przyjaciel jego i dłużnik zastał go klęczącego na podłodze i zapinającego z całym skupieniem ducha tłomok podróżny.

— Zlituj się! Cóż robisz! Mów, co się stało? —zawołał przyjaciel zaraz na progu.

Pan Fabian z powagą spojrział na przyjaciela i uśmiechnął się smutno.

— Jestem już u celu mego życia!—rzekł po chwili

— Jaki? przyjęła twoje oświadczenie?

— Tego dzisiaj wcale nie oczekiwałem. Chciałem tylko naprawić mej błąd, aby od panny odwrócić wszystkie złe języki. Tego właśnie dopiąłem, ato był na dzisiaj ostateczny... ostateczny cel mego życia! Od niego poczyna się teraz szara przestrzeń stepu, przez który jeszcze przebrnąć trzeba, szukając spokojnego grobu!

— Zlituj się, mówisz jak Werther! Któż dzisiaj, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, tak mówi!

— Wertherem nie jestem, bo się życia nie myślę własną, ręką pozbawiać. W jednej połowie jednak jestem już zabity, a drugą połową chcę jeszcze żyć choćby dla obowiązków!

— Ależ to istna melancholia!

— Niekoniecznie. Moge być jeszcze czasem wesołym irozmownym... alebądź pewny, że drugi raz po serce kobiece już nie sięgnę!

— Mówisz tak, bo ból jeszcze świeży...

— Albo jest miłość, albo są tylko pewne potrzeby życia, które w jakimś magazynie kupić można!

— Dzisiaj rozsądnie z tobą mówić nie podobna.

— Zaczekam w moim ustroniu, póki ten wasz rozsądek do mnie nie przyjdzie!

— Czy chcesz z miasta odjeżdżać?

— Wszak widzisz, że się zbieram.

— Tego w żaden sposób uczynić nie możesz!

— Dla czego?

— Gdy teraz nagle na wieś wyjedziesz, będą ludzie o tobie różne cuda rozpowiadali.

— Jakim sposobem wzbronię im tego?

— Jeżeli tu zostaniesz, i codziennie okażesz im twarz wesołą i pogodną; jeżeli nawet Luni unikać nie będziesz, a nawet o ile można publicznie przy niej okazywać się nie zaniedbasz! To wpływa zazwyczaj na uśmierzenie homerycznego okrzyku, jaki zawsze towarzyszy nieszczęśliwemu konkurentowi!

— Czy chcesz, abym odgrywał rolę, która nie jest mi właściwą?

— Trzeba światu okazać, żeś nie wiele stracił!..

— A jakże moge kłamać, kiedy rzeczywiście straciłem bardzo wiele?...

— Jeżeli już do tego stopnia jesteś sumienny, że nawet przed złośliwym światem nie chcesz ukrywać swojej boleści, z której ten świat zwykle się naigrawa, to już i ja ci radzę, abyś jak najprędzej z miasta wyjechał, bo szczerą boleść twoją tylko złośliwych do tem większych konceptów na twój koszt ośmieli. Przynajmniej nie będą widzieli twojej umartwionej twarzy.

Tak mówił szlachetny dłużnik w ostatnich chwilach karnawałowej wyprawy pana Fabiana po złote runo małżeńskie, a odprowadziwszy go na dworzec kolei petersburskiej, zjadł tamże z wielkiego rozczulenia dwa bifszyki z perdutą na koszt przyjaciela, za co serdecznie go na drogę ucałował.

Wyjazd pana Fabiana, jakkolwiek przez przyjaciela dłużnika nie aprobowany, sprawił jednak dla niego jak najlepsze wrażenie.

Od czasów tragedii greckiej niezaprzeczoną jest prawdą, że po każdym większym i głośniejszym czynie, powinien człowiek zniknąć, aby czyn ten jaśniejszy pozostał.

Gdyby pan Fabian po tak heroicznym oświadczeniu się w mieście był pozostał, gdyby ciekawi spektatorowie codziennie jego przygarbioną postać oglądali, gdyby co większa widzieli go zajadającego zrazy z kaszą i pijącego piwo bawarskie — nie widzieliby przy głowie jego owej aureoli, jaka słusznie należy się każdemu bohaterowi. Pan Fabian mimo koturna zmalaby w oczach ich, jak każdy inny śmiertelny człowiek, a nawet ośmieliliby i mniej dowcipnych ludzi do próbowania na sobie płaskich conceptów.

Pan Fabian jednak, po swoim głośnym czynie, znikł z widowni świata jak bohater grecki.

I zrobił bardzo dobrze.

Każdy bohater po spełnieniu czynu rośnie w wyobraźni naszej, w miarę jak się od oczu naszych oddala. Wszystkie szczegóły ludzkiej natury nikną wtedy, a oko duszy naszej widzi przed sobą postać, jaką zidealizował czyn spełniony. Stosownie więc do tej prawdy odwiecznej zaczął pan Fabian, mimo braku klasycyzmu w rysach, rość coraz więcej w oczach spektatorów na bohatera prawdziwego greckiego zakroju.

Sprzyjała mu do tego sama istota złośliwości ludzkiej. Twierdzenie, że nic nie ginie w świecie fizycznym, można zastosować i do sfer psy

chicznych. Złośliwość ludzka istnieje w sercach ludzkich i marnie zginąć nie może. Przerzuca się tylko z jednego przedmiotu na drugi.

Gdyby pan Fabian po spełnionym czynie,

wszystkie szczegóły swojej ludzkiej natury światu nań patrzącemu okazywał, byłby ten świat bawił się jego kosztem jak się zazwyczaj bawi każdym zwyciężonym.

Pan Fabian jednak po dokonany czynie ulotnił się nagie, zostawiwszy za sobą jasną smugę światła, która patrzących uderzyła.

Niewidzialny dla zwykłych oczu bohater, wszedł od razu w posiadanie wszystkich przywilejów bohatera, a cały expens złośliwości ludzkiej zwrócił się na inny przedmiot.

Przedmiotem tym była—Lunia.

Pan Fabian nie przewidział wcale, że przez swoje niepraktykowane poświęcenie się stworzył eos, co wprost było przeciwnem jego zamiarom.

Cała złość ludzka zwróciła się przeciw opinii kobiety, którą on chciał od złych języków zasłonić.

— Ależ znam go dobrze,—mówił pan Michał— to bardzo porządny człowiek! Ale ona, ona... to ziółko! Czyż potrzeba było z pocziwego człowieka żarty sobie stroić, przyciągać go rozmaitemi srodeczkami, aby potem zaprzędz go jak żydowską szkapę do rydwanu tryumfów swoich?... To gorzej niż nieszlachetnie!

— Przecież można było — mówiła jedna z przyjaciółek Luni—zaraz z początku namar kować mu stanowisko, a nie odpędzać go potem wśród śmiechu rzeszy od stołu, do którego nie mógł być przypuszczony! Ale to lekka dziewczyna, niby cicha i potulna...

— Oho ho!—wołał pan Maryan, —cicha woda brzegi rwie! Zaraz to mówiłem, gdym tę trusią z panem Fabianem razem obaczył!.. Człowiek niebogaty, wyexpensował się w mieście, aby kaprysom kokietki zadość uczynić.



— A ja powiadam — prawda matka siedmiu córek — że takie zabawki kokieterji są właściwym powodem, iż mężczyźni dzisiaj żenić się nie chcą! Jedni sparzyli się na takiej grze niesumiennej i nie ufają grze uczciwej; inni odnoszą blizny, które zagoić się nie chcą. Jedni i drudzy są straceni dla stanu małżeńskiego, i zamiast zdrowej, domowej strawy, wybierają sobie inne narkotyki do życia, aby odzywający się w głębi duszy ból przygłuszyć. Kobiety, które w ten sposób mężczyzn zrażają, powinny być wyrzucone z towarzystwa. Tak i w ten sposób mówiono o Luni. Nie wszystko jednak odrazu doszło do niej. Zbliżali się do niej wprawdzie najprzód ludzie niby życzliwi, i mówiąc o panu Fabianie unosili się nad jego poczciwością. Widzieli w nim rzadki egzemplarz konkurenta, który nietylko o pannie nic złego nie mówi, ale nawet

poświęca się dla jej dobrej sławy, chociaż panna dała mu kosza. Widziano w takim poświęceniu się rzadki afekt serca, o jaki dzisiaj bardzo trudno. Słowem, malowano pana Fabiana wobec Luni w kolorach jak najjaśniejszych; z czego naturalnie wypływało, że na Lunie padał cień niefortunny, że jej cała postać tworzyła niejako kontrast z postacią bohatera.

Drażliwe sumienie Luni czuło w dwojnásób to, co jej homeopatycznie przyjaciółki podawały, ale nie miała na to żadnej rady. Pan Fabian był dalekim od ideału, do jakiego ją wychowano. Postać jego nie miała owego wykwintnego tła, jakie tworzą złożone makaty, w amfiladzie gubiące się pokoje, lub urocze z niebem włoskiem pejzaże. Za jego plecami odbijał się tylko na szarym horyzoncie skromny dworek, przy którym studnia folwarczna ze skrzypiącym żórawiem i ogródek warzywny. Było w tem tyle prozy a tak mało świetnych efektów! Jakże to z wyżyny snów i marzeń zniżyć się do takiego życia, przy którym trzeba zerwać wszystkie dotychczasowe stosunki! Coż na to powie księżna Pelagia, która wczoraj na herbacie u państwa X. tak czule za rękę ją ścisłała? Jakże tu zejść się potem z panem Heliodorem, który jej zawsze tylko o Paryżu i stosunkach swoich z księżną Matyldą prawi? Jakże od tych pięknych rzeczy wyjechać na folwark i stać przy dojeniu krów?

Nie, tak nisko ze swoich zamków nie mogła zejść Lunia. Wołała popłakać trochę, wołała nawet do łóżka się położyć i całą, dzisiejszą drażliwą sytuację przechorować, niżeli zrobić dla zacnego Fabiana ofiarę z tego wszystkiego do czego ją wychowano.

Mimo tak szlachetnego oporu, wciskał się jednak coraz więcej sumienny konkurent do nie mniej szlachetnego serduszka. Nie śmiało i z wszelką dyskrecją stał u wejścia; nic nie mówił, niczego nie żądał—a jednak biedne, strapione serduszko otwierało się coraz więcej i gotowało mu zwolna gościnne przyjęcie.

Przyczyniły się do tego nie mało pochwały sumiennego konkurenta. Lunia czuła coraz więcej potrzebę wyjścia z nieprzyjemnego zacienia, jaki na nią rzucała jasna postać pana Fabiana; chciała się z nim zrównać, jeżeli go przewyższyć nie można!

I zwolna i nieznacznie rozpoczęła się psychiczna praca w tym kierunku. Postać Fabiana urabiała się coraz więcej do jej ideału, z którego w miarę tej pracy, zaczęły powoli odpadać złote makaty, koronki i inne wykwintne akcesorya. Nie obeszło się to jednak bez bólu. Wykwintne akcesorya tak ściśle zrosły się z jej idealikiem, że każde szarpnięcie sprawiało boleść niesłychaną. A tu trzeba było tyle rzeczy oddzierać i odprawać... jakże to boli! Tyle lat stra

cono, aby ten idealik przybrać i wystroić; tyle stosunków pozawiazywano ze światem, aby dla tego idealiku zdobyć jak najpyszniejsze stroje—a teraz trzeba to wszystko próć i skubać, aby go sprowadzić do naturalnej postawy człowieka!.. Otoż, przy tak szlachetnej pracy napadała Lunie często silna reakcja. Chciała zatrzymać swej kunsztowny ideał i szukała skwapliwie powodów do tego. Chciała koniecznie coś znaleźć, coby na niekorzyść pana Fabiana mówiło;

chciała widzieć go niegodnym tak wielkiej ofiary jaką miała ponieść dla niego, chciała słowem nie kochać go, albo nawet nienawidzić!

Z taką ukrytą myślą wypytywała się o ujemne strony pana Fabiana, śledziła pilnie wszystko, co tylko przeciw panu Fabianowi świadczyć mogło.

Ale pan Fabian był teraz ulubionym dzieckiem opinii publicznej. Chwalono go z całą przesadą właściwą tej nerwowej kobiecie, widziano w nim zalety i przymioty, o jakich dawniej nie myślano. Nawet młode panienki wymawiały bez chichotu jego nazwisko i do tego rumieniły się, jakby na widok ubóstwionego bohatera wszystkich pensyonarek.

Lunia nie mogła nic usłyszyć, coby ją od pana Fabiana słusznie odwrócić mogło. Wszystko co słyszała dążyło do tego, aby mu uprzejmie serduszko otworzyć i tam po królewsku go ugościć.

I już wolna przygotowała mu rozkoszne przyjęcie, i już przed wielbicielkami pana Fabiana zaczęła się po cichu ze swoich planów spowiadać—kiedy nagle w całej tej sprawie nastąpił zwrot niespodziewany.

Zwrot ten, który szczęściu pana Fabiana zagroził, był wprawdzie na pozór niespodziewany, ale w gruncie rzeczy nastąpić musiał. Był on prostą konsekwencją błędu, jaki pan Fabian w ostatniej z Lunią rozmowie popełnił, a za który, jak twierdzi jego przyjaciel pan Dyonizy, koniecznie odpokutować musiał.

Nemzę tego błędu nie mógł być kto inny, jak piękna ale złośliwa Michalina, ów zły duch pana Fabiana, który mu całe to nieszczęście zgotował.

Zanim jednak Michalinę w tej roli obaczymy, trzeba wprzód zastanowić się nad tem małym pięknym atak złośliwym stworzycielem, i zbadać z kąd się w tak pięknym ciałku wziął taki duch niedobry.

Michalina weszła w świat z szesnastą wiosną życia, a z ukrycia swego wyszła cała uzbrojona i ubrana jak Minerwa z głowy Jowisza. Pierwsze słowo, które wymówiła wtedy, było dowcipne lecz złośliwe, zabarwione ironią i pesymizmem.

Z kąd się to w niej wzięło?

Michalina miała dosyć zamożnych rodziców, którzy, stosując się do zwyczajów krajowych, sprowadzili dla niej najprzód bonę a potem guwernantkę z Paryża.

Bona była kobietą bardzo niskiego poziomu. Prócz paryzkiego akcentu i frazesów półświatowych, miała dobry apetyt i podniebienie dosyć drażliwe. Zadaniem jej życia było jeść dużo, jak najczęściej, i na tym czysto kuchennym poziomie postawiła odrazu młodą Michalinę. Wyuczyła ją więc smaku dobrej kuchni, i całą istotę ludzką skierowała do rozkoszy podniebienia, co jest fundamentem rozwoju innych zmysłów.

Po bonie przyszła guwernantka, czysta Paryżanka. Była to stara panna z czołem zawsze zachmurzonym. To czoło było niegdyś jasne i otwarte; tryskały w niem złote, piękne marzenia. Jakiś złoty młodzieniec podsyłał te marzenia złotym deszczem, ale plon z tego deszczu był ba. dzo smutny i opłakany.

Odtąd wplatają się w jej życie jaśniejsze i ciemniejsze epizody. Po jaskrawej smudze szczęścia następuje ciemny pas nieszczęścia i zawodu, po wykwinciu życia—nędza i ubóstwo.

W chwilach namiętnych przemawiano do niej mową bogów, poezją i wyszukanymi frazesami, a gdy uniesienie minęło, zostawiono ją na barłogu...

I tak całe życie jej spletało się z samych

złud i zawodów, a im więcej zbliżała się starość, tem więcej zółci dla zdradliwego świata sączyło się do jej duszy, tem brzydszym wydawał się jej ten świat ongi tak piękny w namiętnościach swoich. Obawa przed śmiercią głodową dała jej książkę do ręki i zmusiła zostać nauczycielką młodego pokolenia. I czegoż mogła to pokolenie nauczyć nieszczęśliwa stara panna, ofiara zawodów życia, pełna zółci i skarg na ten świat nieznośny, który jej wszystko odebrał a nic nie dał? Nauczycielstwo nie było u niej celem życia, nie przygotowała się do niego głębszą nauką, bo nigdy nie czuła do tego właściwego powołania. Było ono tylko ostatnią deską ratunku dla rozbitka, aby na życie zarobić. Powierzchną więc oglądała pokryła brak głębszej wiedzy, a paryzki akcent uzupełnił resztę. Taka nauczycielka miała wychować przyszłą kobietę. Ofiara licznych zawodów i rozczarowań postawiła odrazu młodą dziewczynę na swoim poziomie, z którego okazywała jej świat brzydki i samolubny. W młode serce wychowanki sączyła się więc nauka skeptycyzmu, ubarwiona błyskotem dowcipu i zręcznych, sarkastycznych frazesów. Świat ducha i uczucia był u niej zerem, ba w tym świecie wszystko ją zawiodło. Wartością dla niej była tylko rzeczywistość namacalna

a przede wszystkim pieniądze—a poezją to wszystko, co za pieniądze mieć można.

Wszystko zresztą było złudzeniem i śmiesznością.

Michalina wzrosła więc na takim poziomie zasad i wyobrażeń, a młoda jej dusza starała się nawet prześcignąć wzór, jaki miała przed sobą.

Matka, zajęta stosunkami towarzyskimi!, nie miała czasu uczuciem macierzyńskim rozegrać wyziębionego tak wczesnie serca swojej córki; czasem nawet taki kierunek wydawał się jej dobrym, gdyż dawał gwarancje, że Michalina nie zwicnie dla jakiegoś tam sentymentu świetnej kariery swojej, o jakiej w jej domu marzono.

To tłómaczy nam całą istotę dzisiejszej Michaliny. Od owego czasu zmieniło się wiele wokół niej, ale ona pozostała ta sama. Rodzice pomarli, kariery dotąd świetnej trudno było znaleźć, a biedna ciotka miała wiele kłopotów z piękną, kapryśną i złośliwą siostrzenicą.

Goniąca z uśmiechem i dowcipem za świetną karierą, Michalina przyzwyczaiła się do tego uśmiechu i dowcipu, i w braku pewnych danych sytuacji usiłowała stwarzać takowe, aby się przy nich dostatecznie uśmieć i ubawić.

Ta jej natura była powodem, że dla biednego pana Fabiana zgotowała tak niefortunną sytuację, która mu tyle boleści przyniosła.

Sytuacja ta miała według jej rachunku zakończyć się komicznie Pan Fabian miał dostać kosza, a przyjaciółka jej miała wziąć na głowę laur tryumfu, którego tak gorąco łakną wszystkie płytkie istotki.

Plan ten nie udał się. Wprawdzie pan Fabian dostał odkosza, ale sumienność jego i prawdziwe dla Luni uczucie, z góry przedzierzgnęło tę ułożoną farsę w dramat poważny, w którym dano mu oklask jako bohaterowi.

Złośliwa natura Michaliny nie mogła znieść aureoli bohatera tam, gdzie śmieszności się spodziewała; bolało ją to, że pan Fabian po tym odkoszu wcale śmiesznie nie wyglądał, że przeciwnie rósł w opinii publicznej coraz wyżej, a w końcu stał się prawie bohaterem.

Był to zupełnie odmienny skutek od tego, jaki ona sobie dla igraszki założyła. Bolało ją to i gniewało, bo złośliwa natura jej serduszka nie mogła znieść tego, na co teraz patrzała.

Zacząła więc ośmieszać biednego bohatera dowcipem i sarkazmem; ale znalazła tak liczny szereg jego wielbicieli, że broń tę uznała za bezskuteczną.

Tymczasem groziło jej większe jeszcze zmartwienie.

Zaczęły się rozchodzić głuche wierci, że Lunia zaczyna się nawracać do nieszczęśliwego bohatera i że nawet użyto pewnego pośrednictwa, aby go do miasta sprowadzić.

Michalina postanowiła to udaremnić. Powiedziała sama przed sobą, że robi to dla szczęścia Luni, która pod wpływem sentymentalnego rozdrażnienia mogłaby łatwo taki lekkomyślny krok uczynić.

Chodziło tylko o skuteczną broń, a broń ta, o której wspominał już pan Dyonizy, znalazła się. Miał jej dostarczyć sam pan Fabian.

Lunia przyszła o tyle do zdrowia, że mogła już wstać z łóżka i siedzieć na fotelu. Była blada i przezroczysta, co dowodziło, że doznała wielkiego wzruszenia. Na jej twarzy igrał uśmiech łagodny, podobny do pasma błękitu, który jest zwiastunem pogody po przebytej burzy. W szafirowych oczach migotało jakieś słodkie marzenie, a blade usta ukrywały przemocą jakieś uroczne słówko, które przeznaczone było na powitanie gościa oczekiwanego. Gościem tym miał być—pan Fabian. Wdzięczny jego dłużnik wziął na siebie arcytrudną missyę, aby go do miasta z samotnego ustronia sprowadzić i znowu do Luni zbliżyć.

Zanim to jednak nastąpić mogło, pośpieszyła do swojej przyjaciółki Michalina.

— Jakże uroczo wyglądasz w tym białym penioarze!—zawołała od progu.—Jeżeli każda panna po danym odkoszu tak ma wyglądać, to postaram się jak najprędzej o taki kosmetyk!

Blade usta Luni poruszyły się rozkosznie. Ucałowała przyjaciółkę i kazała jej usiąść przy sobie.

— Mylisz się moja droga—rzekła do niej — jeżeli sądzisz, że danie odkosza przyczynia się do wdzięków naszych.

Gdy była zmuszona Fabianowi... panu Fabianowi odmówić, zdaje mi się, że wyglądałam wtedy bardzo brzydko.

Nawet mama zwróciła na to uwagę i kazała mi na przechadzce woalkę spuścić. Da się to łatwo wytłumaczyć. Panna dająca odkosza odsłania się w tej chwili przed ludźmi, którzy widzą w niej kokietkę lub, co najmniej, osobę lekkomyślną. Sumienna nie dopuści nigdy mężczyzny do tego kroku.

— Zawsze stara twoja filozofia! Przecież kokietką nie byłaś, a mimo to pan Fabian oświadczył się tobie!

— Musiałam w czemś wykroczyć, jeżeli pan Fabian tak długo pozostawał w złudzeniu...

— Masz chore sumienie! Trzeba się pozbyć tych niepotrzebnych skrupułów!

— To skrupuły, które przemieniają się w pewne przyjemne uczucie...

— Przecież nie zechcesz ich zamienić na miłość dla pana Fabiana?

Lunia zarumieniła się. Michalina spojrzała na nią z zadziwieniem.

— Obawiam się,—zawołała,—że jesteś na zlej

drodze, że głupia gadanina świata wpływa na ciebie.

— Czy to byłoby tak źle?

— Czy możesz tak pytać? Są rzeczy, które bardzo pięknie w książce wyglądają ale w życiu sa wierutnem głupstwem.

Odczytanie ładnego wierszyka poezyi, może na chwilę sprawić przyjemną oscyllacyę serca; ale głupstwem byłoby wierzyć, że ta oscyllacya trwać będzie przez całe życie. Gdybym miała do wyboru między codzienną muzyką Chopiri'a a produktem kulinarnym dobrego kucharza, wybrałabym niezawodnie to drugie!

— Dla czegoż rzeczy stawiasz na ostatecznych krańcach?

— Bo widzę, że ty na takim krańcu teraz stoisz!

— Bóg widzi, że za ostatecznością nigdy się nie uganiałam. Nie chcę życia bez żadnej poezyi, ale też i nie sięgałam po poezyę bez żadnej rzeczywistości!

— Najlepszą i najtrwalszą poezyą jest to, co w przyzwoitych dostatkach mieć można. Gdzie się zaczyna abnegacya, tam kończy się poezya!.. Przejazdźka naprzykład do Wilanowa lub Natolina w porze wiosennej jest wycieczką

prawdziwie poetyczną—ale do tej poezji potrzeba ładnego ekwipażu, okazałych koni i jakiej takiej liberyi. Wyobraź sobie, jakby wyglądała taka wycieczka na wózku żydowskim, lub „per

pedes apostolorum" jako dla chorób żołądkowych praktykują emeryci?...

— Przecież można pragnienie swoje zastosować do środków, jakimi rozporządzamy!

— Pragnienia kobiety są wszędzie jedne i te same. Panna służąca chce tak samo jechać do ślubu karetą, jak i księżniczka. Pocóż więc dobrowolnie wybierać wózek gospodarski?... Jeżeli się chcesz do nowej sytuacji zastosować, to musisz pierwiej umrzeć taką jaką dziś jesteś, a potem odrodzić się kobietą nową, bez żadnych nawyknień, jakie masz dzisiaj!

— Jeżeli się kogo kocha, można wiele rzeczy dla niego poświęcić!

— Nie wierz temu! Silniejszą od uczucia jest pamięć. Uczucie może osłabnąć i umilknąć z czasem, a pamięć wzmacnia się z biegiem lat i stanie w końcu przed nami jak nieubłagany wierzyciel. Wierzyciel ten będzie nam ciągle przypominał czem byliśmy w zaraniu młodości naszej, do czego nas wychowano i przyzwyczajono, a o czem chcieliśmy w chwili szału lekkomyślnie zapomnieć!...

— Czemuż tak okrutnie obalasz mi mej nowy pałac szczęścia, nad którym z taką boleścią pracowałam!

— Nie jest to pałac, ale poprostu chatka na lodzie!

Lunia westchnęła.

— Rozważ tylko moja droga—mówiła dalej

Michalina—do czego twoje bohaterstwo ciebie prowadzi. Twoje tkliwe serduszko jest zaniepokojone, że ktoś tam cierpi. Czy dałaś mu powód do tego cierpienia?

— Granica winy jest często tak subtelna, że jej dojrzeć nie można!

— Przecież sama mogę zaświadczyć, że żadnej winy z twojej strony nie było.

— Tak mi się zdawało!

— I tak było w istocie. Że pan Fabian sobie coś uroił, któż temu winien?

— Ale on jest tak zacny i sumienny, że bez żadnej przyczyny nie mógłby sobie uroić...

— Czy kochałaś go?

— Przedtem... przed oświadczeniem... nie!

— A po oświadczeniu?...

— Po oświadczeniu... znasz moja droga wszystkie szczegóły tego oświadczenia i możesz sama osądzić, że człowiek tak zacny i poczciwy..

— Wart jest twego serca i... tej białej, delikatnej rączki!

— Słyszę w twych słowach strunę ironii!

— Prędkiej boleści. Żal mi tego greckiego noska, tej zgrabnej figurki i tej bajecznie drobnej nóżki! Wszystko to nie jest stworzone do stajni krowiej i błota folwarcznego!... Wierzaj mi, gdyby rodzice okazali cię na szerszej arenie świata, gdyby wywieźli cię choć raz do Ostendy, Ischlu, lub Homburga, rękę ci, że jaki bogaty markiz, albo przynajmniej baron, byłby suto za to wszystko zapłacił!....

Lunia wzdrygnęła się.

— Jesteś dzisiaj dla mnie okrutna!—zawołała z westchnieniem.

— Wierzaj mi, wszystkie piękne rzeczy przemijają, ale pieniądze nie przemijają!

— Ale trzeba przecież czegoś dla serca!

— Serce... serce, to rozkapryśzone dziecko: dasz mu jakiegobądź cacko, a uspokoi się!... A im droższe to cacko, tem pewniejszy skutek!  
— W tym względzie się z tobą nie zgodzą!  
— W tej chwili sama z sobą nie jesteś w zgodzie!  
Lunia spojrzała z zadziwieniem na przyjaciółkę.  
— Ja sama z sobą w zgodzie nie jestem?— powtórzyła,—a z kąd wiesz o tem?  
— Widzę to w twoich oczach. Gadanina ludzka napiera na ciebie, a wewnętrzna twoja istota opiera się temu!  
Lunia zamyśliła się. Po chwili rzekła:  
— Nie lubię rozbierać moich uczuć i wrażeń, ale... przyznam ci się... w tej chwili czuję rzeczywiście, jakoby we mnie były jakieś dwie istoty!  
— A widzisz! widzisz!—zawołała z roziskrzonym okiem Michalina—jakie mam dobre oko!  
— Dwie te istoty są z sobą w niezgodzie. Jedna sprawia mi uczucie nader rozkoszne, obiecuje szczęście, spokoję i zadowolenie, jeżeli pejdę drogą prawdziwego uczucia... a druga

usiłuje odwieść mnie od tej drogi, stawiając mi przed oczy to wszystko, cokolwiek w życiu widziałam i do czego przyzwyczaiłam się!

— Pierwsza, zalecona nam przez poezję, dobra jest tylko jako karm dla wyobraźni; druga jest naturalnym produktem naszej ludzkiej natury, i pozostanie z nami aż do śmierci, podczas gdy pierwsza od nas odbiegnie!

— Czyby nie można ich razem zatrzymać...

— Czy idąc za pana Fabiana możesz tego dokazać?

Lunia westchnęła. Przed jej oczyma stanął mały dworek wiejski i kilka par koni roboczych. O karetach i koniach cugowych mowy być nie mogło. Nie było także innych świetniejszych akcesoryów życia. Za to była praca żmudna i prozaiczna...

W gruncie rzeczy nie mogła Lunia mieć takich wygórowanych pretensyj, bo takich pretensyj nie było na czem opierać. Posążek był bardzo skromny, dodany do osobistej pracy mógł wprowadzić przynieść dobre owoce, ale nie mógł w zamian żądać tak kosztownych rzeczy, o których często się marzyło!

Mimo to marzenia domagały się swego prawa, rościły sobie prawo do wszystkich tych świetności, które poza rzeczywistym posagiem były. Zadały tego od drugiej strony, bo przecież mąż musi być kilkakroć bogatszy; ale nie obiecywały prawa wzajemnego, to jest, aby żona była bogatszą od męża!

Takie marzenia są nader uporczywe, osobliwie, gdy się wylęgną w ładnych główkach o jasnych włosach, z pięknym greckim profilem, z dodatkiem drobnych delikatnych rączek i miniaturowych rozmiarów nóżek.

Lunia miała takie same przymioty zewnętrzne; nic więc dziwnego, że obraz przyszłości, jaką jej mógł w tej chwili dostarczyć pan Fabian, nie odpowiadał wcale jej dawniejszym uroszczeniom.

Gdy Michalina westchnienie w jej piersiach spostrzegła, roześmiała się rozkosznie i ucałowała ją serdecznie.

— Popelniasz gwałt na sobie,—rzekła,—widzę to jasno. Pana Fabiana nie kochasz, a idąc za opinią ludzi chcesz wmówić w siebie, że go kochać możesz. Nieprawda?

— Nie powiem tego, żebym była zakochana,—szepnęła Lunia—ale mam dla niego wielki szacunek, a nawet po tem co zaszło...

— Co zaszło?.. Zręczny aktor i nic więcej!

— Zręczny aktor?—zawołała z zadziwieniem Lunia —co mówisz! Pan Fabian zręcznym aktorem?... nie! moja droga, to już przechodzi granice żartu!

— Bo wcale żartem nie jest!

— Zlituj się, co mówisz! Pan Fabian byłby zdolny być aktorem?

— Dziwi mnie to, że sama tego nie spostrzegłaś!

Lunia z oburzeniem odwróciła złotą, główkę od złośliwej przyjaciółki i zamyśliła się.

Zrazu były te myśli jasne i piękne. Pan Fabian wyglądał przy tych myślach jako człowiek zacny i pocziwy; serce Lunii otwierało się dla niego choćby tylko z tego powodu, że on ją tak szlachetnie i tak bezinteresownie kochał!...

Powoli jednak zaczęła jakaś mgła zasępiać te piękne myśli. Przypomniała sobie Lunia, że kiedyś z niemałym usiłowaniem wyszukiwała czarnych plam w postaci pana Fabiana, aby swoje sumienie należycie uspokoić, a niefortunnego konkurenta zostawić z dobrze zasłużonym koszykiem!...

Byłoby to może i dobrze, gdyby tak się stać mogło!... Serce uwolniłoby się od długu... opinia nie miałaby nic do zarzucenia... a wtedy... I jasny, dawniej rozkosznie wymarzony obraz przyszłości stanął znowu przed nią... ale stanął bez posępnego dworku i bez studzienki ze skrzypiącym żurawiem...

Lunia tutaj ciężko westchnęła. — Zamyśliłam się nad tem co powiedziałaś— rzekła do przyjaciółki—ale nie chciej mi tego brać za złe. Przyznaję się, że myślałam długo nad tem, aby w charakterze i postępowaniu pana Fabiana coś znaleźć, coby inne światło na niego rzucić mogło i mnie od wszelkiej odpowiedzialności uwolniło. Przyznam ci się jednak,

że nic a nic znaleźć nie mogłam, a to co widzę jest piękne i szlachetne, chociaż może trochę niezwykle!

Michalina podskoczyła z radości do góry.

— Jeżeli tylko nad tem myślałaś—odrzekła żywo—to już jesteś na dobrej drodze... Otoż dopomagam ci i powiadam, że pan Fabian jest tylko zręcznym aktorem i odegrał z tobą wyborną komedję!

— Komedję odegrał?—zawołała Lunia i podniosła się z krzesła.

— Przypomnij sobie wszystkie szczegóły jego mniemanego oświadczenia się.

— Znam każde słówko, każdy gość jego!

— Otoż to wszystko razem wzięte tworzy wyborną komedję!

Lunia zbladła na samą myśl i oparła się o poręcz krzesła. Jej białe czoło sfałdowało się, aby z uwagą słuchać przyjaciółki.

Michalina tymczasem z zimną krwią wydobyła z kieszonki elegancką portecigares, a zapaliwszy mały papierosik mówiła do Lunii;

— Nie ufaj nigdy ludziom na pozór statecznym i spokojnym. Mogą oni wiele rzeczy zrobić i zręcznie ukryć, czego człowiek żywy a nawet lekki nie potrafi! A takim właśnie wydaje mi się pan Fabian!

— Wyrządzasz nui krzywdę!

— Nie mówię bez dowodów. Przypomnij sobie, że pan Fabian chodził upoczywie do

was, choć mógł był widzieć, że chodzić nie ma po co. Gdy zaś taką wytrwałością dopiął tego, do czego dążył, to jest, że wszyscy uważali go za szczęśliwego konkurenta, wtedy dla uratowania twojej opinii oświadczył się, aby nie wyglądało, że sam ciebie porzucił!

— Było to dowodem, że mnie kochał, nawet nad miłość własną!

— Wszystko dobrze. Pan Fabian mógł cię kochać nad miłość własną, mógł z poświęcenia dla ciebie wyjechać ze stolicy z odkoszem; ale powinien to być uczynić w sposób naturalny, jak się każdy konkurent oświadcza— bez teatralnego efektu!

— Teatralnego efektu?

— Tak jest—a to dowodzi; że grał z tobą komedycę!

Lunia powitała z krzesła.

— Dotąd ciebie nie rozumiem—rzekła z wyteżoną uwagą.

— Gdyby pan Fabian rzeczywiście myślał o poświęceniu się, byłby poprostu poszedł do twoich rodziców, oświadczył się krótko i wręlowato, a dostawszy odkosza opuściłby stolicę wracając do swojej studni ze skrzypiącym żurawiem. Ale panu Fabianowi nie chodziło o ciche poświęcenie się. On chciał spalić fajerwerk, któryby wszystkich olśnił, ciebie otumaniał, a na galeryi oklask wywołał!... Dla tego nie oświadczył się po prostu, aby z koszykiem

odejść, ale umotywował przed tobą swoje oświadczenie z emfazą zręcznego aktora; powiedział, że mu nie chodzi o twoją rękę (której i tak nie byłby otrzymał), ale o dobrą sławę twoją... że dla tej sławy twojej poświęca wszystko co ma najdroższego, a nawet miłość własną... i błaga tylko (wyłazi szydło z worka), abyś o nim czasem wspomniała sobie, abyś wierzyła, że oprócz niego nikt cię tak szczytnie kochać nie może...

Lunia spuściła oczy i zamyśliła się.

— I jaki cel miał ten fajerwerk z taką ostentacją spalony przed tobą? Oto, aby cię olśnił i zmusić do wzajemnego afektu, a jeśli to się nie uda, aby w sojuszu z opinią publiczną natrzeć na ciebie i twoje serduszko zgwałcić!.. Czy nie widzisz w tem gry aktorskiej?

— Jesteś niemiłosierną!

— Gdyby pan Fabian szczerze cię kochał, byłby bez żadnych motywów oświadczył się poprostu o twoją rękę, a dostawszy odkosza, byłby cicho odjechał do domu, nie pochwaliwszy się przed nikim z powodów tego oświadczenia. Świat dowiedziałby się tylko o prostem oświadczeniu i zwykłym odkoszu, i wcaleby za to ciebie nie szarpał. A tak przez zręczną, komedycę wpadłaś między młot i kowadło, i wcale się temu nie dziwię, że się poddajesz!

Lunia była ciągle zamyślona. Po jej białem czole przemykały dziwne myśli. Michalina o

tworzyła przed nią nieznaczną furtkę w kulisach życia ludzkiego, której ona dawniej nie widziała. Zajrzała przez tę furtkę po za kulisy, a serce jej doznało nieprzyjemnego wrażenia. Wiele rzeczy przedstawiało się jej teraz inaczej.

Niektóre z nich były pierwaj tak piękne, a teraz, przez tę tajną furtkę, wyglądały tak brzydko!

Widząc takie zamyślenie Luni, postanowiła Michalina na tem poprzestać. Odrzuciwszy papierosik, usiadła do fortepianu i zanuciła wesołą piosenkę swego ulubionego Offenbacha.

Po odśpiewaniu kilku zwrotek, powstała, ucałowała przyjaciółkę i znikła jak senne widmo.

Lunia długi czas siedziała nieruchoma i zamyślona. W jej sercu odbywała się nowa walka. Jakaś tajemna, mieszkająca w niej istota pochwyliła szybko zatrute słówka Michaliny i zaczęła z nich układać nowy zupełnie obrazek. Pan Fabian, któremu tyle pracy poświęcono aby wyglądał podobny do wymarzonego ideału, bladł powoli i znikał zupełnie.

Wszystkie ofiary? jakie dla niego ponieść chciano, wystąpiły znowu na tło tego obrazu, a im więcej bladła postać sumiennego kochanka, tem jaśniej i jaskrawiej przedstawiały się te ofiary.

Wychowanie, przyzwyczajenia i dawne marzenia wystąpiły teraz z całą gwałtownością do walki z koncessjami serca i starały się zmusić je do milczenia. Zrazu opierało się serce, za



wezwało łyzy do pomocy, roznieciło w gorącej główce kilka pięknych z prawdziwych uczuć utkanych snów przyszłości szczęśliwej,—ale o zwycięztwo było mu bardzo trudno.

Nadzieja tego zwycięztwa upadała z każdą godziną, z każdym dniem, a gdy jeszcze mama dobrodziejka i dwie ciotunie po stronie Michaliny stanęły, przechyliła się szala na stronę tego świata, który serca wcale nie uznaje, tylko w związku z dwoma karyerami rejestruje pilnie wszystkie rozrywki i zabawki życia, dostępne dla każdego za zwykłą opłatą biletów.

I stało się, że w kilka dni po przebytej walce tkliwego swego serduszka, siedziała Lunia na koncercie dla moralnie zaniedbanych dzieci, w pierwszym szeregu krzeseł, z twarzą tak wesołą i ożywioną, jakby miała sumienie najspokojniejsze i niczem niezamąconą wiarę w świetną i szczęśliwą przyszłość.

W tym samym dniu, w skromnym pokoiku na Dziekance odbyła się wcale inna scena.

Po pokoju szerokimi krokami przechadzał się pan Fabian i od czasu do czasu niecierpliwie patrzył na zegarek.

Był ubrany w ten sam paradny tużurek, w którym tak niefortunnie oświadczał się Luni, a nawet te same miał rękawiczki starannie na dwa guziczki zapięte. Na jego twarzy były ślady przebytych cierpień; ale ślady te zniknęły już

powoli przy nadchodzącej nowej pogodzie myśli. W pięknym błękitnym oku zapalało się z wolna ciche rozkoszne marzenie, a łagodny uśmiech kolo ust towarzyszył temu marzeniu, jak białej chmurce na niebie towarzyszy sokół lotny...

Otworzyły się drzwi—do pokoju wszedł przyjacieldłużnik.

Pan Fabian niecierpliwie spojrzął na niego.

Przyjacieldłużnik nie miał twarzy wesołej. Czoło jego było zmarszczone, usta zaciśnięte.

Z ust pana Fabiana znikł uśmiech łagodny, a zastąpił go wyraz spokojnej powagi.

— Widzę, że nie przynosisz oliwnej gałązki,— rzekł spokojnie do przyjaciela—ale mów otwarcie i szczerze. Widzisz, że jestem spokojny.

Mimo to zadrżały mu usta i nieznacznie oparł się o poręcz krzesła.

— Sam nie wiem co się stało—odparł przyjacieldłużnik—przecież wyraźnie powiedziano mi przed kilku dniami, że chcę abyś się zbliżył do nich... a nawet sama Lunia wymówiła do mnie kilka słów tak znaczących, że uważałem za obowiązek przyjaciela...

Pan Fabian podał szeroką dłoń przyjacielowi z pewnym spokojem, ale przyjaciel uczył wyraźnie, że ta dłoń drżała gorączkowo.

— Dziękuję ci za twoje dobre serce,—rzekł pan Fabian—nie odpowiadasz za to, że to serce omyliło cię!

— Ale serce moje nie omyliło mnie, prędzej ludzie...

— Często na ludzi narzekamy niesłusznie; sami jesteśmy winni. Wierzaj mi!

— Wyraźnie powiedziała mi ciocia panny Ludwiki...

— Życzliwy dla mnie przyjaciel inaczej wytłómaczył sobie jej słowa i wnosił ztąd...

— Nic nie potrzebował wnosić, słowa były jasne... ale musiało coś zająć... nie dałbym za to ani szeląga, że jakiś bogaty konkurent nadpłynął prawdopodobnie...

— Wyrządzasz ludziom krzywdę bez żadnej podstawy. Na niekorzyść bliźnich nic złego przypuszczać nie można.

— Nic nie przypuszczam, ale buduję na tem, co teraz mi powiedzieli!

— Cóż ci powiedzieli?

— Powiedzieli mi... ale nie gniewaj się na mnie,...po wiedzieli, że jesteś zręcznym, aktorem!

— Ja, zręcznym aktorem?—krzyknął jak lew zraniony pan Fabian, i położył na stole pięść zaciśniętą.

— Tak sobie wytłómaczono twoje oświadczenie się o rękę Luni!

—Ja aktorem! ja!— wołał sumienny konkurent z twarzą jak burak czerwoną—ja aktorem! Czy poszaleli, czyś ty oszalał, że takie brednie pleciesz?..

Przyjacieldłużnik uczył na swoim ramieniu żyłastą rękę pana Fabiana, z którego oczu strzelały niepokojące gromy.

— Ja, powiadasz, byłem zręcznym aktorem? kłamałem uczucia, jakich nie doznawałem? ja byłem kłamcą i bezwstydnym komedyantem? ja?... wytłómacz mi się z tego, bo inaczej uduszę cię jak muchę, choć się mienisz moim przyjacielem!

Przyjaciel dłużnik cofnął się o krok od zapowiedzianej groźby, a zabezpieczywszy się całą szerokością stołu od ponowienia tejże, odpowiedział jak mógł najpotulniej:

— Ja przecież temu nie wierzę, tylko powiadam to, co mi mówiono!

— Cóż ci mówiono, mów prędko!

— Mówiono mi, że odegrałeś prostą komedię, aby wrpłynąć na słabe serce kobiety.

— Gdzież jest ta komedia?

— Komedia ta w tem ma leżeć: że zamiast oświadczyć się po prostu i wyjechać z koszykiem, powiedziałeś z emfazą dla czego się oświadczasz; postawiłeś sam siebie na piedestału bohatera poświęcającego się dla sławy panny; rozgłosiłeś to poświęcenie przed światem, wyczekując żniwa po tej zręcznej siejbie!

Pan Fabian zbladł cały i zadrzał.

— Poświęcenie się, mówiła Lunia, jest cichym czynem bez podania rachunku, co ten czyn kosztuje; ty zaś poświęcałeś się z rachunkiem w rękę, jakbyś z zajezdnego domu wyjeżdżał, chępiąc się przed ludźmi, że tak drogo zapłaciłeś... Lunia jest tego zdania, że sporządzenie tego rachunku należało jej zostawić...

Nieszczęśliwy konkurent zachwiał się. W jego oczach okazały się łzy.

Przyłożył rękę do twarzy i tak stał czas niejaki. Ruch konwulsyjny wstrząsał mu piersi.

Po chwili odsłonił twarz. Była spokojna, lecz mocno blada. Oczy tylko szklily się mocno.

Westchnął całą piersią i wyciągnął rękę do przyjaciela.

— Daruj mi,—rzekł przytłumionym głosem—byłem niesprawiedliwym dla ciebie i panny Ludwiki.... Panna Ludwika ma słuszność. Chciałem spełnić czyn szlachetny, ale do tego czynu za mało było szlachetności wemnie. Samolubna natura człowieka nie umiała milczeć tam, gdzie się Bogu spełniała ofiara!

Umilkł i znowu rękę przyłożył do czoła.

— Spełniając czyn szlachetny—mówił po chwili—chciałem się zaraz tym czynem po oh wali i powiedziałem Luni i jej rodzicom, dla czego to robię. Załączyłem do ofiary zaraz rachunek, że ta ofiara kosztowała!...

Jakieś dziwne uczucie w krtani przerwało mu mowę. Odkrząknawszy mówił dalej:

— Samolubstwo odrodziło się przez samochwalstwo, a to odbiera słusznie memu postępкови właściwe jego znaczenie...

— Przecież czyn twój szlachetnym pozostanie zawsze.

— Mylisz się przyjacielu. Ja powinienem był prosto oświadczyć się i z odkoszem odejść. Ale

ja wywiesiłem zaraz chorągiew z napisem: oto poświęcam się! zamiast tych słów w pokorze oczekiwać od Luni!.. To odbiera memu postępowaniu całe znaczenie i bardzo słusznie zniza je do prostej komedii, do efektu teatralnego!

— Przecież sam siebie w ten sposób sądzić nie możesz!

— Dla czego nie? Jest to sąd słuszny i sprawiedliwy. Chciałem coś szlachetnego zrobić, a tymczasem natura moja nie dojrzała jeszcze do tej szlachetności, i popełniłem tylko czyn samolubny!

— Może to być tylko błąd, ale nie wina!

— I błąd i wina mej drogi. Jeżeli chcemy dla ludzi coś pięknego zrobić, musimy się do tego dobrze przygotować.

Nasze egoistyczne namiętności muszą wprzód ucichnąć, aby duch był czysty i spokojny. Gdy się Luni oświadczałem, nie byłem ani czysty od wszelkiego egoizmu, ani spokojny i wolny od namiętności. Dla tego to, do szlachetnego czynu mego dodałem przechwałkę, że robię to w zamiarze, aby się poświęcić. Może to słusznie w jej oczach wyglądać na komedię, a ja zasłużyłem na to, aby mnie poczytano za prostego aktora! Pojmujesz mnie teraz?

— Przecież można całą tę sprawę Luni wytłómaczyć!..

— Życie ludzkie powinno być takie, aby żadnych objaśnień nie potrzebowało!

— I chcesz pod tym zarzutem pozostać?

— Chcę, bo na niego słusznie zasłużyłem. Człowiek nie powinien sobie żadnej kary darować, jeżeli uznał, że na karę zasługuje!

Rzekłszy to, zadzwonił pan Fabian na służącego, któremu kazał sobie jak najprędzej rachunek przynieść.

Przyjaciel dłużnik pożegnał go tym razem bez bifsztuku z perdutą.

Tak się zakończyła karnawałowa przygoda dwojga ludzi, o której w mieście przez kilka tygodni różnie mówiono. Jedna i druga strona miała swych adwokatów i oskarżycieli. Zarzucano Luni, że pocziwego człowieka zabiła z toru bitej drogi i zrobiła z niego mizantropa; do pana Fabiana zaś miano żał za to, że zamiast odwrócić się od lekkomyślnej dziewczyny, wziął rzecz na seryo i niepotrzebnie się skompromitował. O poświęceniu się nie było już mowy, bo ludzie zazwyczaj nie długo lubią bohaterów i radzi ściągają ich do swego własnego poziomu. Pan Fabian zatem po kilku tygodniach został zupełnie zwyczajnym człowiekiem, a nawet mniej niżeli zwyczajnym—bo niefortunnym konkurentem!

Tymczasem inne rzeczy świata szły zwykłym przyrodzonym torem. Młode panny wyczekiwały codzień wcielenia ideałów swoich, a oBtroźni kawalerowie dopytywali się zřęcznie o posagi, jakich im gwałtem potrzeba było.

Otoż z porządku tych rzeczy wypadło, że Lunia była zaszczycona widokiem kilku młodzieńców, którzy ją starannie obejrzeni, na dukato

wych wążkach zważyli i spokojnie dalej poszli. Nie było to Luni przyjemnie, a nawet trochę z tego powodu zapłakała, ale rzeczy odmienić nie można było.

W lecie zmienił ojciec Luni kilka listów zastawnych, które do jej posądku należały; za te listy wyjechano za granicę i tam na wszystkie strony znajomości zabierano.

Po kilku miesiącach okazał się bilans nieszczęgólny. Zrobiono w towarzystwie kilka spacerów, trzy wycieczki w góry saskie, mieszkało cały miesiąc w Saskim hotelu w Dreźnie, zwiedzono Wiedeń i Berlin i powrócono do domu bez zdeklarowanego konkurenta, i bez owych listów zastawnych, które odjęto od posagu Luni.

Opowiadano o cudach przyjemności i zabawy, wymieniano alfabetycznie wszystkie nowe zdobyte stosunki i znajomości; ale to wszystko nie popychało dalej ani o włos matrymonialnej sprawy jedynaczki.

— Ten przeklęty pozytywizm!—wołała matka Luni w rozdrażnieniu—cała młodzież przeszła do pozytywistów! Nikt nie chce się zakochać, rozumie się człowiek bogaty; nikt nawet nie chce ocenić należycie greckiego profilu Luni i jej bajecznie drobnych rączek!... (inaczej, że towar nie ma kupca)...  
Jakkolwiek podobne utyskiwania skrycie się tylko objawiały, nie przestały one jednak dokucać.

Michalina także na różach nie spoczywała. Nieubłagany rydwan czasu przeszedł i po niej bez żadnej dyskrety i zostawił jej kilka bolesnych śladów.

Pierwszy ślad podobny był do wizerunku pewnego bogatego młodzieńca z Ukrainy, który w ogródku marzeń dziewiczych tyle psoty narobił, że potrzeba go było gwałtem wypędzić. A wyrok ten wykonano natychmiast, gdy się dowiedziano, że bogaty Ukrainiec nie ma żadnych bogactw, a do tego długów co nie miara!

Była to rzecz zwykła, ale przeto nie mniej bolesna.

Po Ukraińcu nastąpiła prawdziwa ostateczność.

Był to obywatel z nad Noteci, człowiek milionowy. Michalina wyekspensowała wiele dowcipu i mączki ryżowej, sprawiła u Włodkowskiej trzy nowe kostiumy, oczerniła należycie trzy przyjaciółki, które z nią rywalizować mogły, a gdy już blisko portu szczęścia swego była, stało się znowuż coś, co rachunek jej cały nielitościwie zmazało!

Niestrudzona bohaterka zwróciła się w inną stronę; sprzedawała nawet losy i pierniki na loteryi fantowej, ale wszystko było bez skutku.

Wreszcie piękne dni lata i jesieni legły W zielonej mogile, a pierzaste strzępki zaczęły latać w powietrzu, jakby już na seryo zimę zapowiadały.

Jakkolwiek zima dla świata rzeczywistego jest twardą, i istotnie zimną porą roku, dla ludzi jednak marzących i czegoś od życia pragnących, jest to pora najcieplejsza, najprzyjemniejsza. Wtedy to bowiem snują Bie po głowie najgorętsze marzenia karnawałowe, gorąca krew burzy się w sercu i sprawia śród walca uczucia najrozkoszniejszym a nieszczęśliwi konkurenci zeszlóroczni zszywają na prędcę rozdarte serca swoje, jak marynarze burzą potargane żagle, aby szukać nowych portów upragnionego szczęścia!..

I dziwne dzieją się wtedy rzeczy. Podczas gdy w naturze wszystko krzepnie i zamiera gdy mroźne wichry ostatnie ciepłe soki z drzew wysysają, gdy nawet ruchliwy potok obleka się w kryształową powłokę, aby pod nią snem zimowym drzemać: serca ludzkie zaczynają się wtedy odradzać, krew rozgrzewra się przy odgłosie muzyki zapustnej, a sny złociste wiją się po złotych główkach jak zielone gaicizki lipcowego powoju!... Słowem natura zamiera, a człowiek, jeżeli nie jest zupełnie stary, odradza się i z odrodzonymi siłami szuka nowego szczęścia dla siebie!...

Zdaje się, że i nasi znajomi podlegali tym samym prawom ludzkim. Zima w parze z karnawałem była dla nich nową kartą życia, na której mogło się coś zapisać...

Michalina powitała zimę i karnawał jako

najlepszą porę swoich dwudziestu siedmiu wiosen. Twarz jej bowiem najlepiej wyglądała w wieczornej tualecie. Ciemne brwi i błyszczące oczy z misterną brunatną obwódką, odbijały wtedy należycie od mączki ryżowej z bizmutem. Wiosna i lato nie dawały jej twarzy tak korzystnego oświetlenia. To też najczęściej zawodów przyniosły jej te pory roku, czy to na majówkach w stolicy, czy na wycieczkach spacerowych u wód zagranicznych.

Chociaż zima z dodatkiem karnawału i wielkopostnych rautów była dla niej gościem upragnionym, powitała jednak tego gościa z czołem trochę zmarszczonem, bez zwykłego wesołego dowcipu. Usposobiły ją do tego różne przygody życia. Kilka świetnych partyj przeszło mimo niej, zawadziwszy zaledwie o jej ramię. Obejrzała się i obaczyła—cudze szczęście. Oprócz tego, trzeba było przeboleć kilka zawodów. Ten i ów zbliżał się i odchodził... tylko jeden nieproszony wcale towarzysz szedł z nią krokiem odmierzonem, nigdy jej nie opuszczał i nigdy się nie cofał. Był to—czas nielitościwy, niemniej jak ona rachunkowy, i pilnie zapisywał do albumu jej życia minuty, godziny, dni i miesiące, póki się z nich nie zrobił roczek, który jako jednostka wchodził do metryki parafialnej... Przy takim nieubłaganym towarzyszu można

było czoło zmarszczyć, a w złym humorze można nawet było nazwać go fabrykantem zmarszczków... Gdy Michalina dwudziestą siódmą wiosnę w albumie swego życia zapisaną ujrzała; gdy spostrzegła, że nieproszony fabrykant zmarszczków i na posagu znaczne szczyrby porobił, jakby i tem swojej sztuki próbował: wtedy zamyśliła się na seryo i bez dowcipnego uśmiechu obejrzała się wkoło siebie za jakim towarzyszem życia... Do tego samego rezultatu, ale innemi drogami, przyszła i Lunia. I ją dotknęły bolesne zawody, chociaż tych zawodów nie oznaczała cyframi, jak to mogła zrobić Michalina. Na te zawody swoje miała szczególny antydot. Za realne szkody dostarczał indemnizacyi—idealizm. Gdy jaki ponętny epuzer przy niej się nie zatrzymał, wtedy na rozkaz serduszka stawiał się pocziwy pan Fabian, jak żołnierz umieszczony w rezerwie. Nie był to wprawdzie rzeczywisty pan Fabian, który w tej chwili o mil dwadzieścia siał, orał i zbiera!—ale jakiś niewyraźny konterfekt jego, w czarnym tużurku i ciemno zielonych rękawiczkach, tak jak przy ostatniej z nią rozmowie wyglądał. Poświęcała wtedy kilka chwil temu wspomnieniu, a nawet czasem, gdy był mróz dwudziestostopniowy, rozgrzewała się tem wspomnieniem, a przytem było jej tak przyjemnie!...

Czasami wyobrażała sobie pana Fabiana bez zielonych rękawiczek. Osobliwie w dniach gdy gości nio było, widziała sumiennego konkurenta pogrążonego w smutku, leżącego nad brzegiem Bugu i patrzącego na jego fale, które do Warszawy dążyły!... Wtedy pierś jej biała podnosiła się lekkiem westchnieniem, jej piękne serduszko zadrżało rozkosznem uczuciem,, a była to myśl tylko, tylko marzenie, — cóżby dopiero gdyby to wszystko rzeczywistością się stało?... I tak wybladłe to wspomnienie było zawsze łagodzącym balsamem na rany każdego nowego zawodu. A Michalinie tak już dobrze znany był ten balsam wypróbowany, że gdy Lunia kiedykolwiek o panu Fabianie z nią mówić zaczęła, pytała przyjaciółka: — Czy cię znowu jaki zawód spotkał, że pana Fabiana wyciągasz ze składu? Lunia rumieniła się wtedy, bo jej tkliwe sumienie szeptalo, że Michalina prawdę powiedziała... Złośliwe jednak zapytania przyjaciółki miały dla pana Fabiana dobry skutek. Chociaż zawody były różne, ale wspomnienie byłego konkurenta odbywało się z coraz mniejszem dla niego ubliżeniem. Śród mętów dzisiejszych zawodów, wypływał on na wierzch coraz bielszy, czystszy a nawet przystojniejszy. I kto wie coby się stać mogło, gdyby podo

bny proces pławienia wspomnień ubiegłych w mętach obecności, dłużej potrwał! Pan Fabian mógłby z nich wypłynąć biały jak śnieg a czysty jak rosa majowa... i byłby może niezawodnie wypłynął i znowu skromny pokoik na Dziekance zajął... gdyby temu naturalnemu procesowi nie przeszkodził istny „deus ex machina.” o którym, mimo wszelkich artystycznych względów powieściowych, w żaden sposób zamilczeć nie można.

Pewnego zimowego wieczoru rozeszła się dziwna wieść po różnych kółkach towarzyskich.

Najprzód zdążyła ta wieść do Resursy Kupieckiej. Tańczono tam właśnie trzeciego kontradansa na korzyść „małoletnich zbrodniarzy.”

„Małoletni zbrodniarze” powinni się byli cieszyć okazałością tego balu. Tualety były cudowne, ogony dam podobne do ogonów kometowych, bufet najwyszukańszymi przysmakami zastawiony.

Gdyby kto chciał cyframi tę wzorową dobroczynność zmierzyć, możnaby w przybliżeniu za sto sukien położyć , rubli, a drugie tyle włożyć na karb męskiej połowy, licząc w to wagnerki, posiłek, szampana i inne drobne rzeczy.

Z tego ekspensu zawsze kilkaset rubli dostało się od wieloletnich dobroczyńców, „małole

tnim złoczyńcom”, reszta z małym wyjątkiem, wyszła prosto zagranicę.

Rachunek więc wyniknął ztąd taki, że gdy instytucja „małoletnich zbrodniarzy” wzbogaciła się o rubli i kop.— majątek kraju zmniejszył się o dziesięć tysięcy!...

— Et! nie wiedziałem, że waść jesteś takim moralistą!—zawołał pan Symplicyusz, i pogroził krzywym palcem panu Modestowi, który właśnie powyższy bilans przy kieliszku Lafitte sporządzał.

— Mejdrogi, — odpowiedział pan Modest nalewając drugi kieliszek,—jeżeli z nas który nie będzie moralistą, to któż nim będzie!... Możebyśmy kieliszeczek białego?... Munia czy...

— Woię „carte blanche”!

— Dobrze!... kawalerze! butelkę... Widzisz mej drogi, nic nas bardziej oszczędności nie uczy, jak zestawienie dat eksportu i importu. Jeżeli te daty razem postawimy, to za pomocą prostej arytmetykijnożemy się przekonać, kiedy zostaniemy bankrutami! Właśnie o tem piszę artykuł do gazety...

I tak rozmowa o zbytku szła dalej torem swoim przy kieliszkach szampana, a nowy pracownik na polu ekonomii społecznej, rozwijał z werwą zasady swoje, podczas gdy małżonka jego, należąca do stowarzyszenia pracy kobiecej, kolosalnym ogonem z mory antigue, posadzkę sali balowej skrzętnie zamiatała.

— Prawdziwie azyatycki mamy pociąg do zbytku,—mówił po trzecim kieliszku pan Modest, nalewając czwarty panu Symplicyuszowi.

— Prawda, prawda! — potakiwał pocziwy Symplicyusz przeżuując płatek ozora z renifera.

— Nawet rozsądnych ludzi czepia się ta mania!

— Tradycje narodowe!

— Aby nie sięgać daleko, przytoczę ci pierwszy lepszy przykład. Przecież znasz pana Fabiana...

— Pan Fabian... zacny, pocziwy człowiek! Przecież tego nie posądzisz o zbytek!

— Zbytek jest słowo względne. Co dla mnie może być potrzebą, to dla mego służącego jest zbytkiem! Pan Fabian ma mały folwarczek, na którym można wprawdzie mieć codziennie dobry gospodarski obiadek, można nawet parę groszy dla innych przyjemności wydać; ale jzając mieszkanie na pierwszym piętrze hotelu Angielskiego, kazać sobie obiad do pokoju przynosić z dodatkiem butelki starego winka, i do tego w remizie po alei Belwederskiej się przejeżdżać... na to wszystko za mały jest zagon ojczysty!

— Co mówisz! —zawołał pan Symplicyusz i z oburzeniem zawrócił oczy—to już jest prawdziwe szaleństwo! Człowiek taki porządny, zacny, skromny! Pamiętam, w szkole nazywaliśmy go Katonem!

- Tak, tak! Ludzie się zmieniają!
- Nie wiem, co mu nagle do głowy strześliło! "
- Może gra w karty! W takim razie trzeba trochę ostentacji, aby łąpać dudków złotych!
- Jest to wprawdzie przemysł dla majątku krajowego najmniej szkodliwy, pieniądz tylko przechodzi z jednej ręki do drugiej, podczas gdy przy zbytku, za granicę wychodzi!
- Tak.. tak... może jeszcze kieliszek...
- Ale i ta rozrywka ma swoją złą stronę. Pieniądz wrygrany w karty, bez pracy i potu, nie trzyma się właściciela. Lekceważy się go i wydaje bez rachunku. Dla tego gracze w karty są zazwyczaj utracjusze! Napiszę kiedyś o tem...
- Gdy dwaj przyjaciele w ten sposób z sobą rozmawiali, wmieszał się do rozmowy jeden i drugi sąsiad.
- Za pozwoleniem! panowie mówicie o panu Fabianie. Ja nie posądzałbym go ani o lekkomyślność, ani o karty; on poprostu, jeżeli się nie mylę, chce się... ożenić!
- Ożenić, ożenić się!—zawołali obaj przyjaciele z pewnem zadowoleniem, jakby nagle coś nowego odkryli —ożenić się! To być może; ale... przecież pan Fabian nie byłby zdolny udawać coś podobnego!
- Jeżeli inaczej sobie poradzić nie może!
- To prawda, gdy wleziesz między wrony,

to kracz jak ony! Dzisiaj bez wzajemnej blagi nie kojarzą, się małżeństwa!

- Nawet panny wymagają dzisiaj tej blagi ze strony konkurentów, aby w swoim kółku mieć aureolę, że się „świetnie za mąż wychodzi”!
- A to najkosztowniejszy nasz zbytek!
- A zbytek wyłącznie narodowy!
- I rozmowa wróciła znowu do zbytku, a pan Modest zanotował sobie na predce nowy temat do przyszłego artykułu, że blaga konkurentów i panien na wydaniu jest największym zbytkiem w naszym społeczeństwie!...
- Panowie wyrządzącie krzywdę panu Fabianowi,—ozwał się dalszy sąsiad—nie jest on ani graczem, ani konkurentem według dzisiejszej profesyi, jest tylko poczciwym kuzynkiem swojej dalekiej krewnej, która dla kuracyi zjechała do stolicy i jego opieki zażądała!
- Krewna... daleka krewna, zapewne bogata, bezdzietna krewna!
- Naturalnie! Przecież dalekich a biednych krewnych nikt nie otacza taką opieką!
- Staruszka jest rzeczywiście bardzo bogata i bezdzietna, a pan Fabian, jak mi wczoraj regent Ambroży do ucha powiedział, jest prawdopodobnie szczęśliwym spadkobiercą...
- Ah! ah!...
- Nastąpiło głębokie milczenie.
- Proszę, proszęozwał się pan Sympli

cyusz—ktoby się był spodziewał, że pan Fabian miał tak bogatą krewną!

- Nie wyglądał nigdy na to! Nigdy mi słówkiem o tem nie wspomniał! Szczególny człowiek!
- Już ja wam ręczę, że on szczęścia nigdy nie robi! Jeżeli człowiek z takich materyałów jakie posiadał nie umie korzystać, jeżeli będąc konkurentem ani razu nie wspomniał o bogatej ciotuni, która krocie w węzełku dla niego chowała.... to już nie wart dzisiaj, aby się dobrze ożenił!
- I wieleż tam będzie tych kroców?...
- Przeszło pół miliona!

— Pół miliona!

— No... proszę... takiemu człowiekowi, który „na Dziekance” stawał... pół miliona! Czyż on potrafi z szykiem wydać taką sumkę?

— Panowie! Czy to nie należy także do zbytku, aby takiemu nieprodukcyjnemu człowiekowi dawać pół miliona?... Gdy tak na balu publicznym o panu Fabianie rozmawiano, na pierwszym piętrze narożnego domu przy ulicy Marszałkowskiej, marzyły o nim w skrytości dwa serca.

Była to także zabawa z tańcami. Kilkanaście młodych panien w pięknych tualetach siedziało w ładnie urządzonej salonie, a dwa razy tyle młodzieży patrzyło na nie od pieca i przez szkiełka w szyldkretowej oprawie.

Najmłodszy jednak odmówił sobie tej biesiady platonicznej. Wyszli do małego pokoiku, aby tamże uraczyć się papierosami.

— Czy wiesz,—ozwał się Hektor,—że ten zeszloroczny konkurent panny Ludwika zjawił się znowu na horyzoncie miasta?

— Ale tym razem w assekuracji bogatej bezdzietnej ciotki!—dodał Achil.

— Prawdopodobnie będzie szczęśliwszym w swoich zamiarach matrymonialnych!

— Matki, panny powiedzą nawet dzisiaj: qu'il est tres bien!

— Czy panna Ludwika wie o tem?

— Wątpię, bo wczoraj nie wiedziała nawet, że pan Fabian jest w mieście!

— Wybornie! Pejdę trochęja podrażnić!

Po tych słowach, wciągnął Hektor z dopalającego się papierosa cały dym do płuc swoich, a wydmuchnąwszy go nozdrzami, z miną bohatera Troi wysunął się do salonu.

W salonie przy rozkosznym oleandrze siedziała Lusia i rozmawiała z towarzyszkami.

Miała suknię bladuróżową, podpinaną białymi różami. Włosy rozpuszczone a l'imperatrice odbijały bardzo pięknie od bladej twarzy, na której karnawał stolicy nie namalował jeszcze rozkosznych rumieńców.

Rok ubiegły nie zostawił na tej ładnej twarzy śladów widocznych. Była ona zawsze piękna i młoda, ale w ciemnoszafirowym oku można

było coś dojrzeć, co ten rok ubiegły tam wyraźnie zaznaczyło.

Pogoda i dawna dziecięca wiara w szczęśliwą przyszłość znikła z tego oka. Szafir jego zmącił się trochę, jakby tam przymieszało się jakieś smutne, tęskne wspomnienie... Zdaje się, że tak było w istocie. Przed rokiem było w jasnej główce tyle pięknych i uroczych marzeń! Marzenia te były prawie rzeczywistością, bo poetycznej, niczem nie rozczarowanej jeszcze Luni, zdawało się, że potrzebuje tylko białą rączką po te marzenia sięgnąć, aby je ująć i w rzeczywistość zamienić...

Przed rokiem podobną była do ślepo urodzonego dziecka, któremu lekarz nagle wzrok otworzył. Dziecko już widzi, ale nie pojmuje jeszcze przestrzeni i oddalenia, i małą rączką sięga tak samo za pierś matki jak za widmo gór oddalonych... Dzisiaj, po roku różnych złudzeń i doświadczeń, jakże inaczej wyglądały marzenia Luni!

Katastrofa z panem Fabianem postawiła ją od razu na grunt rzeczywistości. Wprawdzie odwróciła się od tej rzeczywistości, bo wtedy jeszcze za nadto odbijała ta rzeczywistość od snów jej złotej główki; ale dzisiaj, po przebytych różnych zawodach, zniżył się nastrej tych snów i zbliżył się do gruntu rzeczywistości.

Zdobycie świetnych ideałów (w znaczeniu matek i ciotek), za pomocą czarów miłości i tkli



wy oh uczuć serca, okazało się wprost niemożliwym albo przynajmniej bardzo trudnym. U dzisiejszych mężczyzn popłacały wprawdzie czasem wdzięki zewnętrzne kobiety, a takie kobiety mogły nawet często świetny interes zrobić, ale Lunia nie wystawiała wdzięków ciała w loży teatru na widok publiczny, nie obnosiła ich codziennie po ogrodzie saskim, ani razu nie pozowała w żywych obrazach, ani w kościele nigdy nie kwestowała. Według jej wyobrażenia, wdzięczna postać kobiety mogła być tylko dodatkiem do skarbów, które się wewnątrz serca i duszy mieszczą, jako jedyny warunek szczęścia. Kobieta bez tych warunków, była w jej oczach prostym towarem, jaki zazwyczaj kupuje się na Wschodzie do haremu. Różnica jest tylko w sposobie zapłaty.

Przy takich wyobrażeniach, nie trudno było Luni o bolesne zawody. Przyłączyło się do tego nawyknięcie przyswojone wychowaniem, że wszystkie jej ideały malowały się zawsze na tle kunsztownem, jakiego mogły tylko dostatki życia dostarczyć.

W sferze jednak takich dostatków nie znalazła chętnych dla siebie ideałów. Zbliżano się wprawdzie kilkakrotnie do niej, ale po zbadaniu jej posagu oddalano się ze wszelką grzecznością i przyjaźnią.

Sprawiło to jej wielką boleść, i mimo woli zniżało miarę uroszczeń. Ideał tracił powoli

niezbędne niegdyś akcesorya większych dostatków i powoli zbliżał się do skromnego folwarku choćby nawet ze skrzypiącym żurawiem. Powoli idealizowała sobie życie folwarczne i uprzyjemniała je środkami skromnymi. Przy tak umiarkowanych marzeniach, stawał pan Fabian przed nią. Miał wprawdzie tę samą postać pochyloną i te same zielone rękawiczki, ale twarz jego i pocziwe niebieskie oczy miały teraz daleko więcej uroku. Nawet jej serce rozgrzewało się teraz przy tem marzeniu, a biała dziewczica pierś podnosiła się skrycie nieznanym westchnieniem, że to marzenie nie może być już dzisiaj rzeczywistością!

— Nie może być rzeczywistością?—zapytała siebie w duchu—dla czego? Czyż to ludzie po niejkiej przerwie nie schodzą się znowu? Czyż to ich powtórne zbliżenie się nie jest więcej romantyczne, niż gdyby od razu, bez żadnych prób i przeszkód wzajemną miłość sobie przyrzekli? Czyż pan Fabian, po tem co zrobił, mógł o mnie zapomnieć? Jeżeli to, co Michalina twierdziła, było nieprawdą, jeżeli on rzeczywiście mnie kochał, czy mógł tak od razu ze szczęścia swego, zrezygnować?... Nie, to być nie może! Czuję, że panu Fabianowi wyrządziłam krzywdę. Przy pierwszym z nim spotkaniu muszę te krzywdę mu wynagrodzić...

Taki monolog kończyła Lunia zazwyczaj ru" mieńcem, a przy tym rumieńcu czuła tak wiel

ką przyjemność, że postanowiła na seryo tę mniemaną krzywdę nieszczęśliwemu konkurentowi rzeczywiście wynagrodzić.

Chodziło tylko o sposobność.

Sposobność ta wydarzyła się właśnie teraz.

Pan Fabian przybył do miasta. Z tą nowiną dążył właśnie do niej pan Hektor, młodzieniec z niepospolitym szykiem.

— Lubię bardzo twarze smutne wśród zabawy,—rzekł pan Hektor siadając koło niej na fotelu.

— Czy pan dostrzegłeś ten smutek przez swoje szkiełko?—zapytała z ironicznym uśmiechem Lunia.

— Ręczę pani, że szkiełko dobre, od Pika. Innych wyrobów nie używam!

— Może oko pana jakim smutkiem przyćmione!

— Staram się zawsze być dalekim od wszelkich smutków i wzruszeń!

— Z czegoż więc składa się życie u pana?

— Z trzeźwych myśli.

— Na które składają się: dobry obiad, butelka wina, smaczne cygaro i drzemka.

— Nie są to tak bardzo śmieszne warunki naszego bytu społecznego. Ręczę pani, że po dobrym obiedzie i smacznym cygarze mamy myśl trzeźwą i nie wpadamy w obłąd marzeń o niebieskich migdałach!

— O czem więc myślisz pan po tak smacz

nym obiedzie? Zapewne o tem, że jutro taki sam będzie obiad smaczny, butelka wina i smaczne cygaro!

Pan Hektor poprawił z powagą kołnierzyki.

— Myślę czasem,— rzekł z uśmiechem,—o obowiązkach ewangelicznych, do jakich należy pocieszanie smutnych!..

— Czy takim obowiązkiem wiedziony usiadłeś pan przy mnie?

— Zdradziły mnie pierwsze moje słowa!

— Więc uroiłeś pan sobie, że jestem smutną i przyszedłeś mnie pocieszyć!

— Postanowiłem to sobie bez żadnego osobistego interesu.

— Niepotrzebnie stawiasz pan dla siebie tę granicę. Zbliżenie się do mego fotelu nie mogłoby w żaden sposób dotknąć osobistego interesu pana!

— Za moje cnoty chrześcijańskie odpłacasz mi się pani złośliwością?

— Tych cnot jeszcze wcale nie widzę!

— Mówią, że serca kobiece przeczuwają, a pani nie tylko moich dobrych chęci nie przeczuwa, ale nawet nic przeczuwa pani, że prócz mnie jeszcze ktoś inny zbliżył się, jeżeli nie do fotelu pani, to do atmosfery miasta, którą pani oddychasz!

Lunia spojrzała z pewnym niepokojem na mówiącego. Pan Hektor mówił dalej:

— Już sam niepokej oka dowodzi, że pani mnie zrozumiała!

— Mej niepokej mógłby tylko dowodzić, że pana odgadnąć nie nmiem!

— Czy lubisz pani ubiegłe wspomnienia?

— Zależy to od natury tych wspomnień, do jakich bynajmniej nie należy szermierka w słowa kunsztowne i niejasne.

— Mówię o wspomnieniach, które głębiej w serce wnikają, niżeli rozmowa między polką i walcem.

— Nie każdy ma prawo mówić o takich wspomnieniach.

— Czy mogę pani prosić o nabycie tego prawa, w zamiarze wyświadczenia pani wielkiej przyjemności?

— Mów pan bez ogródki!

— Nie mogę jednak obejść się bez wstępu. Przed rokiem doznałaś pani pewnego wzruszenia, którego nie zapomina się tak łatwo, chociażby ono kończyło się... koszykiem.

Lunia zarumieniła się, a potem lekko przybladła.

— O takich wzruszeniach nikt przed światem nie mówi—odpowiedziała z powagą.

— Ponieważ jednak rzecz sekretna stała się publiczną, nie weźmiesz mi pani za złe, że do niej dzisiejszą rozmowę nawiążę.

W piersiach Luni zadrzało serce. Odgadła, że pan Hektor chce mówić o panu Fabianie.

Cóż mógł jej o nim powiedzieć?.. O! wiele, bardzo wiele! Mogł powiedzieć, że pan Fabian

zeni się z córką swego sąsiada, że się już może ożenił i teraz z młodą żoną za granicę wyjechał; że taki a taki świetny posag wziął za żonę i jest celem zazdrości wszystkich trzech pogranicznych powiatów!

Jakże bolesno byłoby słuchać takich rzeczy, które tak skrycie tajone marzenia w samym środku przeryniają, jak nożyce Parki pasmo żywota...

A może chce pan Hektor co innego powiedzieć! Może chce jej donieść, że pan Fabian jest od roku niepokieszony... że od wiosny nie miał ani razu zielonych rękawiczek... że smutny i samotny leżał przez całe lato na zielonym brzegu Bugu i wiatrem północnozachodnim pocieszał tęskne swoje westchnienia...

O wszystkim tem mógł mówić pan Hektor, jakże to można go słuchać obojętnie? Lunia odetchnęła głęboko.

— Nic wiem co pan mrzesz do tego wspomnienia nawiązać!—wyszepnęła cicho.

— Przecież to jest materyał tak obfity!

- Nie wiem z jakiego punktu pan patrzysz! Ludziom obojętnym niektóre rzeczy wydają się zwyczajne, podczas gdy dla innych są bardzo drażliwe.
- Drażliwość pani będę umiał uszanować.
- Doprawdy... nie moge się domyślić .
- Zbyt słabe są wspomnienia, gdy się ich dopiero domyślać trzeba!.. Przecież chwila,

w której oświadcza się konkurent, chociaż nieszczęśliwie... jest zbyt ważną dla panny, aby o niej zapomnieć można. Często jest to chwila wielkiego zwrotu życia, w której dla marnych powodów wypuszczamy z rąk całe szczęście nasze!... Nie jedna kobieta w nieszczęśliwym życiu wraca potem bolesnym wspomnieniem do tej chwili i połyka łyżę gorzkie, że nie słyszała, kiedy biła godzina jej szczęścia!...

- Podziwiam dzisiaj pana! Nie wiedziałam, że po dobrym obiedzie, butelce wina i smacznym cygarze przychodzą do głowy tak ładne, moralne i poetyczne rmyśli!..
  - Pani jeszcze nie wierzysz w moje dobre intencje.
  - Widać, że takie intencje panu nie do twarzy
  - Wnoszę z tych słów, że ubiegłe wspomnienia robią pani pewne wyrzuty, na które chcesz się na mnie gniewać.
  - Żadnych wyrzutów nie mam... zrobiłam jak powinnam była zrobić... chociaż wspomnienie tego co zaszło jest dla mnie bardzo przyjemne!
  - Więc wracasz pani chętnie do tego wspomnienia?
  - Pamięć zacnego i poczciwego człowieka jest nam zawsze pożądaną.
  - A przecież ten zacny i poczciwy człowiek cierpiał wtedy tak wiele!
- Luni zabłysły łyzy w oczach.

- Sytuacja wyrasta czasem nad nasze siły!—szepnęła z cicha.
  - Czy wtedy pozbywamy się tej sytuacji, czy tylko czekamy, dopóki siły nasze nie zmęcznią i do sytuacji nie dorosną?
  - Pan jesteś dzisiaj nielitościwym szydercą!
  - Czekaj pani końca naszej rozmowy.. Więc wspomnienie nieszczęśliwego konkurenta sprawia pani niejaką przyjemność...
  - Szczerze i otwarcie panu powiadam, że taki człowiek zacny i poczciwy jak pan Fabian, ma prawo do wyjątkowej pamięci!... Nie jest to człowiek obliczony na pierwszy efekt, ale człowiek, który tem więcej zyskuje im dłużej i bliżej mu się przypatrujemy!
- Szyderski uśmiech zagrał na ustach Hektora.
- Zaprawdę! Jakim to dobroczyńcą dla nas czas w sojuszu z przestrzenią i jaką daleką krewną,—rzekł po chwili patrząc w oczy Luni.
- Lunia nic zrozumiała złośliwej alluzji.
- Masz pan słuszność,—odparła żywo—na wielki utwór sztuki, trzeba patrzeć z pewnego oddalenia, aby go należycie ocenić; malowidło tabakierkowe trzeba z bliska tylko widzieć.
  - Jeżeli tak, to zazdroszczę panu Fabianowi, że w pewnej odległości czasu i miejsca mógł nabrać tyle uroku.
- Lunia zarumieniła się.
- Ostrzegam pana,—rzekła gniewnie,—że panu Fabianowi nie pozwolę ubliżać. Dla się

bie nie potrzebuje dopiero domagać się należytej grzeczności!

— Gniew pani niesłusznie mnie trapi. Moge się tylko cieszyć z tego, że pan Fabian przed rokiem tak nieszczęśliwy, liczy się dzisiaj do szczęśliwych!

— Nie wypieram się tego bynajmniej, że mam dla niego najwyższy szacunek, jaki tylko dla mężczyzny mieć można.

— Od takiego szacunku łatwo przejść można do pewnego uczucia, jakiego mu niegdyś odmówiono!

— Jest pewien stopień szacunku, którego od pewnego uczucia odłączyć nie można.

Lunia wymówiła te słowa w wielkim rozdrażnieniu, do jakiego doprowadziły ją słowa pana Hektora.

Była chwila, w której żalowała tego co powiedziała. Niepotrzebnie może odsłoniła wnętrze serca swego przed człowiekiem, który mało ją obchodził. Za mało może była ostrożną i dała się zaprowadzić tam, gdzie zejść nie chciała. Z drugiej jednak strony inaczej się jej rzecz przedstawiała. Postanowiła już dawniej w głębi duszy dać panu Fabianowi zadośćuczynienie, postanowiła wynagrodzić mu krzywdę wyrządzoną... dla czegoż tego przy dzisiejszej sposobności nie mogła uczynić? Jeżeli już w jej sercu odbył się zwrot na korzyść nieszczęśliwego

konkurenta, dla czegoż nie miała przygotować ludzi na objawienie tego zwrotu? A pan Hektor był jakby utworzonym do tego człowiekiem. Miał rozległe stosunki, lubił plotki i kronikę miejską,—dla czego nie korzystać z takiego człowieka?

Gdy to wszystko w swojej złotej główce należycie rozebrała, uśmiechnęła się z zadowoleniem do zdziwionego trochę pana Hektora, który na tak bezwzględną otwartość nigdy nie liczył.

— Czy pana zadziwia to moje wyznanie?— zapytała figlarnie po jakimś czasie.

— Po tem co wiem, wcale mnie nie zadziwia!—odparł pan Hektor z widocznym szyderstwem.

— Więc pan zarówno ze mną cenisz wysoko pana Fabiana?

— Przedewszystkiem cenię go dzisiaj wyżej, niżeli przed rokiem!

— Wytrwałość w powziętem uczuciu znaczy wiele.

— Zdaje mi się jednak, że drogę do swego szczęścia mógł sobie znacznie ukrócić!

— Może to od niego nie zależało.

— Tylko od jego dziwactwa!

— Dziwactwa? Jakież to było dziwactwo?

— Ze przed nikim wtedy nie powiedział o swojej bogatej ciotce...

— Bogatej ciotce?—z najwyższym zdziwieniem powtórzyła Lunia.

— Z którą dzisiaj przyjechał do miasta...

— Przyjechał do miasta...

— I zamieszkał w hotelu Angielskim na pierwszym piętrze...

— Na pierwszym piętrze...

— Z którą w remizie przejeżdża się po alei Belwederskiej!

Lunia wstrząsała głową jakby się ze snu obudzić chciała.

— Co pan mówisz! Nic nie rozumiem!

— Nie obawiaj się pani,—z szyderczym uśmiechem mówił dalej pan Hektor—stryjecznocioteczna ciotka pana Fabiana jest to staruszka sparaliżowana, która najdłużej dwa tygodnie pożyje jeszcze, a potem zaśnie po chrześcijańsku w Bogu, zostawiwszy swemu kuzynkowi pół miliona gotówki...

Lunia pobladła, a potem zarumieniła się.

— Czy pan tak okrutnie żartujesz?—zapytała po chwili.

Pan Hektor był może w prawie zapytać Luni, czy nie gra jak ongi pan Fabian komedyi?

Ale Lunia nie grała wcale komedyi, tak samo jak ongi nie grał jej pan Fabian.

Wiadomość o bogatej, bezdziejnej, umierającej ciotce pana Fabiana, wyjątkowym sposobem razila ją jak piorunem.

Było to rzeczą dziwną a może nawet nieprawdopodobną przy dzisiejszych wyobrażeniach większej części kobiet, o jakie oskarżają je poe

ci w rozmaitych wierszach. Z całą jednak sumiennością autora musimy stwierdzić, że tak było w istocie. Ludwika, po bolesnych zawodach i doświadczeniach, wróciła marzeniem do byłego konkurenta, w którym naturalnym prawem perspektywy i czasu widziała teraz te szlachetne przymioty, jakich dawniej zaćmione jej oko dojrzeć nie mogło.

Powoli uwydatniały się teraz te dobre przymioty pana Fabiana, zwolna przemieniały się były konkurent w umiarkowany ideał szczęścia, i dojrzał wreszcie do tego stopnia, że bez bicia serca nie można było o nim pomyśleć. Na tym punkcie stała właśnie teraz, i właśnie gotowała się do wyjawienia tego przed ludźmi, gdy pan Hektor rozwiązał jej tak starannie dotąd ukrywane marzenia.

Nawrócić się do byłego konkurenta przy niezmiennych warunkach sytuacji nie tylko nie było zbrodnią ani śmiesznością, ale było nawet dowodem pewnego głębszego uczucia, którego w pierwszej chwili należycie nie można było ocenić. Uczucie to przetrwało próbę czasu i oddalenia i dojrzało w owoc więcej upragniony.

Ludwika pieściła się tym owocem swego serca i z rozkoszą roiła sobie plany, które ją do wymarzonego celu doprowadzić miały, gdy nagle stanęło przed nią widmo koniecznej rezygnacji.

Pan Fabian oświadczył się jej przed rokiem, a ona z boleścią serca odepchnęła go wtedy, bo jej wzrok nie widział jeszcze w panu Fabianie podobieństwa do ukrytego ideału.

Pan Fabian miał wtedy skromną fortunę. Fortunka ta mogła wprawdzie do skromnego szczęścia wystarczyć; ale skromne żądania Luni miały wtedy trochę szersze od jednego folwarku granice.

Dzisiaj przez różne zawody ścieśniły się te granice, a pan Fabian zyskał na tem ścieśnieniu bardzo wiele. Ujrzano w nim to, czego dawniej nie widziano, a serce było już gotowe do przyjęcia go na wieczystego lokatora.

Tymczasem nagle zmienił się pan Fabian: ze skromnego człowieka stał się człowiekiem bogatym.

Jakże teraz nawrócić się do niego? Cóżby powiedzieli ludzie, gdyby odepchnięty konkurent przyszedł do niej ze szkatułą bezdzietnej ciotki i jako taki był dzisiaj szczęśliwszym niżeli wtedy, gdy tej szkatuły nie było?

Lunia miała grunt serca szlachetny, nie mogłaby znieść szyderczego uśmiechu świata! Któżby jej wierzył, że nie wiedząc jeszcze o szkatule nawróciła się już sercem do pana Fabiana? Nawet pan Hektor nie wierzy temu, i z ironią dotkliwą patrzy w tej chwili na jej twarz, która nagle zarumieniła się, jakby pod słusznym zarzutem prostej frymarki serca.

Na twarzy Luni po przerażającej bledości nastąpił silny rumieniec, a po tym rumieńcu znowu rozpostarła się bledność.

— Czy pan na seryo mówisz o bogatej, bezdzietnej ciotce pana Fabiana?—zapytała z cicha przytłumionym głosem, aby samej siebie nie słyszyć.

— Zdawało mi się, że pani już wiesz o tej ciotce,—odparł z zabejczą ironią pan Hektor.

— Zkąd pan to wnosileś?

— Z każdego słowa, jakie pani wymówiłaś o panu Fabianie.

Oczy Luni roziskrzyły się.

— Nie wiem, co pan temi słowy pokrywasz — rzekła gwałtownie—ale obawiam się, że to jest wielka... niegodziwość.

Rzekłszy to odwróciła się od sąsiada, a po jej twarzy przesunął się jakiś kurcz bolesny.

Pan Hektor odszedł z tryumfem do świeżego papierosika.

W drugim rogu salonu siedziała ciemna szatynka w sukni bładozielonej naśladowującej kolor wody. Twarz jej mocno ożywiona okazywała dowodnie, że przy tańcach nie próżnowała. Biała jej pierś falowała jeszcze wspomnieniem szalonego walca, ale w oczach ciemnych był wyraz spokojny i dosyć obojętny. Była to Michalina, która robiła właśnie bilans dzisiejszego wieczoru. Tańczyła prawie wszystkie tańce. Przechodziła w pamięci każdego z ta

neczników kolejną, ważyła na subtelnych wążkach wszystkie słowa i półsłówka, które do niej śród tańca wyrzeczono; ale rezultat tego bilansu nie był wcale pomyślny.

Kilku młodzików wprawiało się wprawdzie przy niej do wynurzania afektów i afekcików, ale takich wynurzeń nie można było brać na seryo. Tymczasem pan Michał, pan Wacław i pan Karol, kawalerowie dosyć zamożni, trzymali się na uboczu lub rozmawiali z nią z nadzwyczajną wstrzeźliwością.

Rachunek tego wszystkiego nie był dobry.

Na czole Michaliny pojawiła się chmurka zamyślenia. Było jej wprawdzie bardzo pięknie z tą chmurką, usłyszała nawet z tego powodu kilka pięknych frazesów od pana Achilla, ale chmurka została chmurką.

— Zdaje mi się—ozwała się do niej sąsiadka, pani Wanda—zdaje mi się, że pani znałaś pana Fabiana, który przed rokiem...

— Ach! dostarczył nam materiału do śmiechu na kilka miesięcy!—odpowiedziała z kaprysem Michalina.

— Mówią, że to człowiek poczciwy...

— Któż jego poczciwości co ujmuje! Może sobie być tak poczciwym jak znany z dawniejszych ksiązek naszych Czigodnicki lub Dobrochęcki; ale to przecie nie wystarcza, aby go uwolnić od haraczku naszego śmiechu!

Fenomenalnie śmieszny człowiek!

— W czymże ta śmieszność leży?

— Wyobraź sobie pani człowieka, który na wszystko z taką, powagą patrzy, jakby był senatorem Rzymu. Ta powaga nie pozwala mu ułożyć twarzy do uśmiechu, a gdy to czasem nastąpi, jest wtedy tyle śmieszności w jego osobie, że nie można wytrzymać!

— Słowem jest człowiekiem poważnym.

— Drugim przymiotem, który go śmiesznym czyni, jest jego nieograniczona poczciwość!

— Czy to przymiot tak śmieszny?

— I bardzo śmieszny, w zastosowaniu. Niech kto bądź posądzi go o co, a pan Fabian zamyśli się zaraz nad tem posądzeniem, wynajdzie gdzieś winę ze swojej strony i uznaje, że posądzono go sprawiedliwie! Jest nawet w stanie zadać sobie wtedy pokutę za tę winę, jak drugi Donkiszot! Życia, z jego lekką, może ujemną ale konieczną stroną, nie pojmuje, i wszystkim słowom i ludziom wierzy z zasady, że bez dowodów nikogo o fałsz podejrzewać nie można.

— Zakrawa to trochę na dziwactwo w obec dzisiejszej moralności...

— To więcej niż dziwactwo, to śmieszność, jakiej się bezkarnie dopuścić nie można!

— Wnoszę ze słów pani, że takiemu człowiekowi musi się źle powodzić u ludzi!

— To też źle mu się powodzi! Osobliwie trudno mu bardzo o afekta panien.

— Słyszałam, że próbował raz szczęścia...

- Zdaje mi się, że nie raz...
- Słyszałam tylko o panie Ludwice.
- Lusia dostała go w spuściźnie, po mnie!
- Czy tak?... Więc oświadczał się i pani?
- Oświadczyć... nie oświadczał się, bo do tego nie dopuściłam. Nie był to dla mnie szczególny tryumf, przeciwnie, wstydziłabym się, że podobny człowiek odważył się do mnie zbliżyć...
- Nie byłby on może świetną, partya dla pani, ale jako człowiek nie mógł pani w niczem ubliżyć.
- Ublżenia są różne: czasami szkodzi towarowi, że zatarguje go kupiec niepokaźny.
- Przynajmniej nie można takiego kupca w tryumfie przed światem okazać!
- Masz pani słuszność. Przyznam się, że nawet gniewało mię to, że taki człowiek śmiał pomyśleć także o mnie!
- U panny Ludwiki nie więcej był szczęśliwy!
- Porwał się nawet przed nią do odegrania komedyi, ale ta mu się nie udała! Słyszałaś pani?
- Słyszałam, ale nie podawano tego za komedię. A zresztą, jakże to łączy się z jego poczciwością?
- Les extremes se touchent!
- Słyszałam, że panna Ludwika zmieniła o nim pierwotne swoje zdanie.
- Nie rozumiem pani.

- Zdaje się, że przekonała serce swoje.
  - Nie wierz pani temu!
  - Byłby nawet teraz skuteczny powrót do zmiany swego afektu.
  - Niech pani jaśniej się wyrazi.
  - Pan Fabian staje się dzisiaj bogatym człowiekiem!
  - Bogatym człowiekiem?
  - Dopytała się do niego jakaś bogata, bezdzietna krewna z Litwy, sparaliżowana staruszka, z którą mieszka w hotelu Angielskim na pierwszym piętrze... i codziennie obwozi ją w remizie po alei belwederskiej!
  - Bezdzietna bogata krewna?...
  - Regent Pafnucy mówił o zapisie pół miliona na rzecz szczęśliwego kuzynka.
- Michalina nagle spowaźniała i długo siedziała zamyślona. Na jej czole malowały się myśli bardzo poważne, a od czasu do czasu przebiegał po ustach zaciśniętych uśmiech cierpki.
- Urwała rozmowę z sąsiadką i szybko zbliżyła się do grupy poważnych matron, które się żywo jakąś nowiną zajmowały.
- Nowina ta odnosiła się do pana Fabiana. Michalina przekonała się, że słowa sąsiadki były prawdziwe. I tutaj mówiono o prawdopodobnej znacznej sukcesyji pana Fabiana, która w dziwny sposób całą jego postać teraz opromieniła. Michalina jednak widocznie posmutniała.

Tego samego wieczora, i prawie w tej samej godzinie, kiedy obie przyjaciółki z powodu tak niespodziewanej nowiny w nagłym smutku się pogrzyły, chociaż do tego smutku odmiennymi zaszły drogami, siedział pan Fabian w małym pokoiku Angielskiego hotelu, w towarzystwie nieuniknionego swego przyjacieladłużnika i pilnym uchem śledził najmniejszych poruszeń w przyległych komnatach, w których mieszkała sparaliżowana staruszka.

Pan Fabian zmienił się od tego czasu. Miał wprawdzie ten sam co dawniej skromny ubiór na sobie, te same niebieskie poczciwe oczy i te same barki pochylone; ale mimo to, była jakaś zmiana w całej jego postaci. Zdaje się, że więcej wyszlachetniał, że ruchy jego miały teraz więcej zaokrąglenia, a nawet uśmiech jego zmieszany z bolesnym wspomnieniem był dzisiaj nadzwyczaj sympatyczny.

Można było wnosić, że przebył długą i bolesną burzę uczucia, i że ta burza uwydatniła w całej jego postaci to wszystko, co tam było dobrego i szlachetnego.

Prócz tego, na jego pocziwej twarzy jaśniała teraz pewna swoboda, jakiej dawniej nie było. Widać w nim było człowieka, który przestał powoli i lęklonie macać drogę przed sobą, ale stąpił z widoczną pewnością i odwagą. Przyjaciel jego przypisywał to zmienionej jego sytuacji. Pan Fabian miał dzisiaj obok

siebie w przyległym pokoju szanowną ciotkę, która chowała dla niego pięć kroć sto tysięcy... Taka niespodzianka może przecież z gruntu zmienić człowieka, dodać mu siły, rozumu i pewności, a nawet koszlawą postać kaleki wyprostować! Po inne powody nie sięgał zacny dłużnik, i tylko to miał swemu przyjacielowi do zarzucenia, że przy zmienionej sytuacji swojej traktował go takimi samymi jak ongi cygarami, do bifsztuku zamiast piwa nie kazał postawić choćby chateau Lafitte, a o nowej pożyczce ani słówkiem nie wspomniał!

Zacny dłużnik był jednak wyrozumiały na dzisiaj, a lepszych skutków spodziewał się wtedy, gdy obaj po smutnym obrzędzie z Powązek powrócą.

Materyi tej jednak nie potrącał teraz w rozmowie, bo pan Fabian tego nie lubił.

Było już dobrze po dwunastej, gdy obaj przyjaciele uznali za stosowne po półgodzinnem milczeniu coś do siebie przemówić.

— Czy widziałeś kogo ze znajomych w mieście?— zapytał przyjaciel dłużnik.

— Z lepszych znajomych prawie nikogo! — odpowiedział pan Fabian i lekko westchnął.

— Nie wiem, kogo do lepszych zaliczasz!

— Chciałem powiedzieć, z bliższych.

— Nie wiem także, kto ci jest bliżnim czyli bliższym. Mając na względzie ową ewangę

liczną przypowieść o Samarytaninie. to zdaje mi się, że ci wcale do bliższych nie należą, których ongi za takich miałeś! Pan Fabian westchnął i podał rękę dłużnikowi.

— Przedewszystkiem,—rzekł do niego,—do bliższych moich znajomych zaliczam tego, który widząc mnie ranego, opatrzył rany moje nalawszy w nie wina i oliwy!

Przyjaciel spojrział smutno na stół, na którym stała wprawdzie oliwa, ale wina nie było.

— Oliwy i wina, mówiąc przenośnie, nie szczędziłem wcale,— rzekł po chwili namysłu— i spodziewam się, że rany już zgojone!

Pan Fabian smutno potrząsł głową.

— Rany nie zgojone,—odpowiedział z rozrzewnieniem—a co gorsza, że się może nigdy nie zagoją!

Przyjaciel dłużnik rzucił się niecierpliwie na krzesło.

— Czy jeszcze ciągle myślisz o pannie Ludwice?—zapytał z widocznym gniewem.

— Ja nie myślę o niej... ja ją kocham! —odparł nieszczęśliwy konkurent i smutno zwiesił głowę na piersi.

Przyjaciel zapalił świeże cygaro.

— Taka uporczywa wytrwałość jest niegodna mężczyzny!

— Mówiłem to sobie tysiąc razy!

— Jest nawet śmiesznością!

— Wiem o tem!

— Cóż cię więc zmusza do tej śmieszności?

— Sumienność, która tak samo nie powinna odłączać się od uczuć ludzkich, jak nie odłącza się od żadnych innych światowych interesów!



— Więc kochasz ją dla tego, że raz to słowo wyrzekłeś przed nią?  
— Jakże chcesz, żeby słowa na wiatr rzucać!  
— Przecież do słów nie można uczuć stosować!  
— Jeżeli słowo wyrzekło się po należytej rozwadze, słowo to jest zgodne z uczuciem i takim na zawsze pozostać musi. Jest to wielkiem nieszczęściem naszego wieku, że słowo odłącza się od uczucia. Słowo takie luźne stało się dzisiaj igraszką salonów; to też ludzie którzy taką igraszką się bawią, odsądzeni są od wszelkiego uczucia!  
— Zbyt wysoką miarę przykładasz do ludzi!  
— Czytaj Szekspira, jak tam ludzie mówią! Przy uczuciu szorstkiem pada szorstkie słowo, a ci, co to słowo wymówili, nie zapominają o tem nawet w ostatnim akcie! To też u Szekspira są ludzie wierni temu czem są, źli czy dobrzy.  
— Jeżeli zaś wyrzekło się słowo, a to słowo padło na grunt niewdzięczny?  
— Czy pod tym gruntem niewdzięcznym rozumiesz pannę Ludwikę?  
— Nieinaczej!  
— To mylisz się zupełnie!

— Przecież słowo twoje nie przyniosło tam żadnego plonu, panna Ludwika nie kocha cię!  
— I czyni bardzo słusznie. Aby szlachetna kobieta ukochała kogo, potrzeba aby ten człowiek nie mniej był szlachetny! Ja zaś takiej szlachetności bynajmniej nie dowiodłem. Przy oświadczeniu zdawało mi się, że szlachetnie działałem; ale to było złudzenie tylko. Do szlachetnego czynu zamało miałem szlachetności w sobie. Jakże chcesz, żeby takiego człowieka kobieta kochała?... Przyznam się, nie miałbym nawet dobrego wyobrażenia o niej, gdyby się tak łatwo dała złapać!...

Przyjaciół ruszył ramionami.

— Radzę ci, abyś takiej miary do ludzi nie przykładał.  
— Zkądże mam prawo mierzyć ich lichą miarą?  
— Bo oni sami siebie taką miarą mierzą!  
— Wyrządzasz im krzywdę. Jeżeli człowiek nie ma ugruntowanych powodów źle o ludziach sądzić, nie powinien nigdy tego czynić!  
— A ja ci powiadam, spróbuj tylko!  
— Co mam próbować?  
— Idź do panny Ludwiki... powiedz jej zrzęcznie z kim do miasta przybyłeś i jakie mniej więcej są twoje sperandy... a przekonasz się, że bładolica Lunia uśmiechnie się rozkosznie do ciebie.  
Pan Fabian porwał się z krzesła i żyłastą ręką chwycił przyjaciela za ramię.

— Kto ci dał prawo tak oczerniać szlachetną kobietę! — krzyknął gniewnie, aż staruszka w przyległym pokoju się obudziła—kto ci dał takie bezecne prawo? mów!  
Przyjaciółdłużnik posunął się wraz z fotelem dwa kroki wstecz, ale od żyłastej ręki pana Fabiana nie mógł się uwolnić.  
— Jak możesz tak bezczelnie mówić o ludziach! wołał rozgniewany gospodarz—jak możesz przypuszczać, że panna Ludwika mogłaby być tak podłą istotą, jaką nawet nie jest niewolnica na targu w Damaszku! Tam prosty kupiec sprzedaje niewolnicę, a ty chcesz, aby u nas sama kobieta się sprzedawała?  
Przyjaciół tymczasem uwolnił ramię od żyłastej ręki gospodarza i zajął się właśnie wprowadzeniem w obieg krwi na tem miejscu zatamowanej.  
— Tam do kata—zawołał po chwili—przecież możesz mówić z większym spokojem, o mało nie zgmiotłeś mi ramienia!...  
— Przepraszam cię, ale sam jesteś winien sobie. Ludzie są i tak słabi, po cóż ich jeszcze drażnić?  
— Jesteś poprostu pacjentem, chwytasz za rękę lekarza, który chce cię ozdrowić!  
Pan Fabian smutno spojrzał na przyjaciela.  
— Więc ty nazywasz to zdrowiem,—rzekł po chwili,—jeżeli człowieknieugruntowanem posądzeniem odbiera innym to wszystko, co jest

dobrze, pięknie i szlachetnie? Ty nazywasz to zdrowiem, jeżeli rzucamy kalumnię na bliźniego za to, że ten bliźni nie chciał się do nas twarzą obrócić, bośmy jego twarzy nie byli godni!... nazywasz to zdrowiem, aby kopnąć nogą tych, którzy nam trędowatym swojej ręki nie podali?... Zaprawdę powiadam ci, że lepiej jest rękę swoją od trądu oczyścić, bo wtedy ludzie nie odmówią nam dłoni do uścisku!

Uśmiech ironiczny zaigrał na twarzy przyjaciela.

— Czuję,—ozwał się,—że oczywiście cierpieć musisz, jeżeli to cierpienie wylewasz stylem biblijnym. A ja poprostu tylko radzę, abyśmy jutro do panny Ludwiki obaj z wizytą poszli, a obaczysz jak będziesz przyjęty!

— To swoją drogą zrobić mogę, bo tak nawet nakazuje zwykła grzeczność; ale smutno mi, że ze swoich przywidzeń rozczarujesz się! Wyobrażenia mego o panie Ludwice zmienić nie mogę, bo nie mam do tego żadnego prawa!

— Panna Ludwika jest kobieta jak inne.

— Jesteś istnym złoczyńcą, gdy tak mówisz. Nie przeczę temu, że znajdzie się jedna i druga wyrodna istota, która sprzedaje się jako towar pospolity; ale ogół kobiet jest o tyle wyższym od nas, że ich opiece powierzyła Opatrzność to wszystko, co w życiu jest pięknem i szlachetnym, a na co my czasem nawet zmysłu nie mamy! A ty chcesz, aby taka kobieta na pierwszą

wieść, że jestem spadkobiercą bogatej ciotki, otworzyła ramiona i do kochającego przycisnęła mnie serca?... Tak niegodnej opinii niespodziewałem się od ciebie.

— Mówiłem tylko z doświadczenia.

— Twoje doświadczenia pochodzą z niskiego świata. Podnieś głowę i staraj się, abyś był godny majestatu Bożego, a wtedy ujrzysz go! Jest wiele cnot u ludzi, ale trzeba umieć je widzieć!

— Jesteś marzycielem!

— Lepiej marzyć pocziwie, choćby nawet potem te marzenia przeboleć, aniżeli oczerniać ludzi, i z wyższych sfer spychać ich w błoto!

Pan Fabian miał teraz tak piękny wyraz na twarzy, że przyjaciel jego uznał za stosowne nie odbierać mu, jak mniemał, tych złudzeń, jakimi żywiło się pocziwie jego serce.

Smutno mu było, że pan Fabian nie będzie umiał ze zmienionej sytuacji swojej skorzystać.

Nazajutrz okazały się skutki wczorajszej nowiny w świetle jeszcze bardziej jaskrawem.

Ludwika całą noc ani oka nie zmrugała. W jej pokoiku słychać było ciężkie westchnienia i łkania jakby przytłumione.

Wstała rano bardzo blada. Oczy miała podsińnięte, twarz zmęczoną, usta boleśnie zaciśnięte.

Zajęła się jak zwykle przyrządzaniem her

baty, a gdy już wszystko było gotowe, zawołała rodziców do śniadania.

Matka weszła do pokoju z twarzą zamyśloną, a ojciec z wielką uwagą wpatrywał się w twarz córki. Ludwika czuła to spojrzenie i szukała rozmaitych przy herbacie zatrudnień, aby od takich spojrzeń się uwolnić.

Po niejakej chwili ozwał się ojciec:

— Jakże bawiłaś się wczoraj?

— Dobrze,—odpowiedziała Ludwika z pewnym spokojem,—tańczyłam bardzo wiele!

— Cóż tam tak ciekawego opowiadała ci pani Wanda?—zagadnęła matka i z ukosa spojrzała na męża, który nieznacznie się uśmiechał.

— Różne nowiny miejskie,—odparła krótko Lunia.  
— Czy były ciekawe?  
— Rozmaicie!  
— Czemuż tak krótko nas zbywasz?  
— Bo nie widzę potrzeby rozwodzić się nad rzeczami, które mnie nie obchodzą!  
Matka i ojciec spojrzeli na siebie znacząco. Kilka chwil trwało milczenie.  
— Przecież między temi nowinkami,—ozwał się ojciec,—były takie, które nas trochę obchodzą.  
— Nie wiem, o czym ojciec myśli!  
— Myslę... o panu Fabianie.  
— Przecież pan Fabian,—dorzuciła matka— nie jest dla nas wszystkich osobą obojętną!

— Czy mama stosuje to i do mnie?  
— Nieinaczej!  
— Żałuję mocno, że węż temu zaprzeczyć moge.  
— Rozdrażnienie twoje dowodzi, że rzecz ma się przeciwnie!—zagadnęła matka.  
— Byłoby to nawet bardzo naturalnym wnioskiem—uzupełnił ojciec.  
Ludwika spojrzała na rodziców wilgotnemi oczyma, jej usta zadrżały.  
— Zdaje mi się,—rzekła, — że najnaturalniejszą rzeczą jest, przeszłość zostawić przeszłością.  
— Czy ta przeszłość jest ci tak niemiłą?  
— I owszem. Przeszłość ta nie była dla mnie niemiłą, a nawet często wspomnieniem wacałam do niej. Przyznam się nawet, że chciałam rodzicom objawić moje zdanie, tyżące się tej przeszłości; ale wypadki przeszkodziły temu.  
— Jakież są te przeszkody?  
— Do przeszłości można wacać tylko z czystych pobudek; gdzie są choćby pozory nieczystych, tam mamy drogę powotu zagrodzoną.  
U jedwabnych dziewiczych rzęs zwisły dwie duże, przejrzyste łzy. Ojciec i matka westchnęli.  
— Któż to przewidział!—szepnęła matka,  
— O sukcessyi ani słowem nigdy nie wspomniał!— dodał ojciec.  
— To znamionuje jego szlachetny charak

ter!—odparła żywo Ludwika,—nie posądzał mnie, abym na taki powszedni lep złapać się dała!  
— Szlachetność szlachetnością, — rzekł ojciec—ale przecież porządni ludzie inaczej swoje interesa prowadzą. Życie potrzebuje pewnych zasobów, o których przemilczeć nie można. Miłość rozsądna umie niebo z ziemią połączyć i nie odgrywa roli istoty bezcielesnej. Po cóż było ukrywać przed nami, że się ma takie zasoby życia? Nasze role mogłyby wtedy wpaść inaczej!  
— Zdaje się,—odpowiedziała Ludwika,—że pan Fabian nic przed nami nie ukrywał. Miał mająteczek i opisał go szczegółowo przed nami. Żeśmy te jego zasoby za niedostateczne uznali, to wina nasza a nie jego. O spadkobierstwie mógł wtedy sam nie wiedzieć!  
— Przecież można nam było wskazać choćby oddaloną nadzieję!—szepnęła matka.  
— Pan Fabian nie chciał ani nas ani siebie łudzić!—odrzekła Ludwika.  
— Było to bardzo zanie i poczeiwie z jego strony. Inny postąpiłby inaczej!  
— Dla tego tem większy mam szacunek dla niego,  
— Możeby z tego samego powodu...—rzekła z uśmiechem matka—z tego samego powodu można ten szacunek posunąć... trochę dalej... do pewnego punktu, gdzie ten szacunekprzechodzi...

- Chce matka powiedzieć, że mogłabym się do pana Fabiana nawrócić?—żywo podjęła Ludwika.
- Tego wprost nie mówię... ale sądzę... że gdyby pan Fabian zechciał napowót..
- Nie, nigdy!—zawołała Ludwika.
- Przecież miał tyle sympatyj dawniej u ciebie?—ozwał się ojciec.
- Rzęsiste łzy wytrysnęły z oczu Ludwiki.
- Moge nawet więcej rodzicom powiedzieć,— rzekła wśród łkania —od niejakiego czasu zdawało mi się, że pana Fabiana będę mogła szczerem sercem ukochać, bo na to rzeczywiście zasłużył jak teraz poznaję... ale to wszystko jest dzisiaj stracone!
- Dla czegoś stracone.
- Bo pan Fabian nie jest dzisiaj tym konkurentem, jakim był wtedy. Dzisiaj jest to konkurent bogaty, partya świetna. Dzisiaj może on tylko z szyderstwa zbliżyć się do mnie... a ja byłabym tylko wielce upokorzona jego widokiem!
- A gdyby on sam zbliżył się do ciebie?
- Nie, on tego nie uczyni, bo tem mógłby mi tylko ubliżyć. Jakież wyobrazenie mógłby mieć o mnie, gdyby ze szkatułą ciotki zbliżał się do mnie po to, czego mu, gdy był bez szkatuły, odmówiłam? Nie, pan Fabian nie zechce mnie tak upokorzyć! Jabym tego nie przeżyła!
- Jesteś ekscentryczna, w taki sposób nigdy za mąż nie pejdiesz!

Hojnie polały się łzy po twarzy Ludwiki.

— Jeżeli za mąż nie pejdę,—rzekła wśród płaczu—nie będzie to tak wielkim grzechem. Ale woję zostać starą, panną, niżeli miałabym dać pozór światu, że konkurentowi ze skromną fortuną dałam odkosza, a gdy tenże sam z workiem spadkobierstwa do mnie powtórnie przyszedł, wtedy poszłam za niego!

Ojciec spojrział smutno przed siebie, a matka ciężko westchnęła. I miała czego westchnąć, bo szansa wydania córki świetnie za mąż znacznie się dzisiaj zmniejszyła. Zmniejszyła się nie mniej i ilość listów zastawnych, z których miał się posag Ludwiki składać; ale to należało do departamentu ojca, który też teraz z całej piersi ciężko westchnął.

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju.

Do salonu wszedł pan Fabian a za nim pojawił się nieodstępny przyjaciel dłużnik.

Na przywitanie gości pośpieszył ojciec Ludwiki.

Sytuacja była trudna. Ojciec Ludwiki serdecznie ucieszył się przybyciem dawnego gościa swego, i byłby zaraz na wstępie serdecznie go uściskał, bo w gruncie duszy zawsze lubił poczciwego człowieka, ale względy wyższej strategii nakazywały mu powściągliwość.

Naprzód nie chciał zbyt gorącym uściskiem okazać, że dzisiaj pana Fabiana wyżej ceni, niżeli wtedy, gdy mu kosza dawano. Ubliżałoby to całemu domowi, aby w ten sposób ludzi szacować. Z drugiej strony nakazywała tego pewna ostrożność. Pan Fabian po odebraniu odkoszu mógł dzisiaj przyjść w ukrytej myśli, jakie będzie teraz przy zmienionych warunkach jego przyjęcie. Być może, że chciał spróbować, jaką miarą mierzą w tym domu człowieka. Wypadało więc ojcu Ludwiki być ostrożnym. Postanowił, aby gościa przyjąć grzecznie, ale bez szczególnego afektu, który mógłby się odnosić do spodziewanej sukcesy.

Przy takiej ostrożności wypadło przyjęcie dosyć sztywnie.

Pan Fabian spostrzegł to i wytłómaczył sobie po swojemu. Spojrzął z ukosa na przyjaciela, który do tej wizyty go namówił, a wejrzenie jego zdawało się mówić: A co? Nie powiedziałem, że tak będzie? Widocznie nie mam tu łaski,

bo na nią niczem nie zasłużyłem! Przyjaciel ruszył ramionami. — Przyjeżdżając na kilka tygodni a może miesięcy do miasta—rzekł pan Fabian—uważałem za obowiązek złożyć państwu moje uszanowanie...  
— Nie mogłeś pan inaczej postąpić —odparł ojciec Ludwiki—nie chcąc okazać się niewdzięcznym za prawdziwy afekt, jaki wszyscy mamy dla pana!

Pan Fabian uśmiechnął się z ironia. Słowa te wziął widocznie za frazes prostej grzeczności.

— Pa Fabian przeczył to,—zagadnął przyjaciel.— Wczoraj jeszcze miał zamiar służyć państwu, ale mej własny interes był powodem, że tego nie uczynił. Chciałem bowiem także korzystać z tej sposobności...

Ojciec Ludwiki podał mówiącemu rękę.

W tej chwili weszła matka. Miała ona te same skrupuły co ojciec. Z tego powodu przywitanie jej wypadło nie mniej zimne i sztywne jak przywitanie ojca. Pan Fabian spostrzegł to, a twarz jego wyraźnie posmutniała.

Mówiono o rzeczach zwyczajnych. Przyszła rozmowa i na krewną pana Fabiana. Potwierdził mniej więcej to wszystko, o czym już wiadano (o sukcesyji rozumie się nie mówiono), i dodał do tego obawę, że biedna staruszka zatrważa go nie mało.

Wreszcie zebrał się pan Fabian na odwagę i zapytał o pannę Ludwikę.

— Lusia jest zapewne jeszcze zatrudnioną porządkowaniem swojej toalety po wczorajszych tańcach— odpowiedziała matka sztywnie.

— Więc panna Ludwika bawi się dobrze!— rzekł pan Fabian z pewnym ironicznym akcentem.

— Mamy tego karnawału zabaw aż za wiele!— odpowiedziała matka—pojutrze jedziemy do państwa Władysławów, a w sobotę są tańce u prezesa! Na jeden tydzień to już i tak dosyć.

— W samej rzeczy,—odparł pan Fabian i smutno zamyślił się.

— Ona nawet o mnie nie myśli, jeżeli się tak zapalczywie bawi!—pomyślał sobie w duchu, a wąsy jego opuściły się smutno ku ziemi.

Rozmowa przeszła na inne przedmioty; była jednak zimna i sztywna, bo żadna strona nio mogła Jub nie chciała jej ożywić. Pan Fabian czuł młyński kamień na sercu i tylko kiedy niekiedy wydobył z siebie jakieś słowo. Wszystko to co widział utwierdzało go w mniemaniu, że tutaj nikt o nim nic myśli, że złożono go już do składu pamiętek, a Ludwika w wirze karnawałowym ogląda się za innym konkurentem, a może nawet już ma jaki romans.

Takie myśli nie mogły pana Fabiana do weselszej rozmowy nastroić. Smutno, bardzo smutno było mu w salonie, w którym przed rokiem marzył tak słodko! Dzisiaj zdawało mu się, że znajduje się w grobie swoich najdroższych pamiętek życia, a ściany tego grobu były tak zimne, tak smutne!...

Przyjacieldłużnik przedłużał jak mógł rozmowę w nadziei, że Ludwika wyjdzie, a nawet kilka razy o nią zapytał; ale rodzice odpowiadali krótko i wężłowato, że jest zatrudnioną.

Wreszcie nadszedł kupiec z towarami kobiecemi. Potrzeba było do tego Ludwiki. Kommunikacyi do przedpokoju nie było innej jak tylko przez salon.

Po długim namyśle wyszła Ludwika.

W pierwszej chwili lekki rumieniec przesunął się po jej twarzy. Wnet jednak ustąpił, a twarz jej przybrała cere zwyczajną.

Powitała w ten sposób pana Fabiana, że to powitanie odbyło się bez podania ręki.

Pan Fabian zasmucił się jeszcze więcej takim powitaniem. Zdawało mu się, że tutaj jest celnikiem i usunął się skromnie aż do samych drzwi.

Ludwika rozmawiała długo z kupcem w przedpokoju. Rozmowa w salonie szła jak po grudzie. Pan Fabian i jego przyjaciel patrzali koleją na drzwi do przedpokoju. Oczekiwano każdej chwili Ludwika.

Po długim czasie, gdy już właśnie zabierano się do odejścia, weszła Ludwika, trzymała w ręku jakieś kwiatki, wstążki i stroiki. Zbliżyła się do matki i koleją okazywała jej nabyty towar.

Pan Fabian był dosyć długo niemym świadkiem rozmowy matki z córką. Nie mogło go to dobrze usposobić. Smutno patrzył przed siebie.

Wreszcie załatwiła Ludwika sprawę z towarem i zwróciła się do gości.

— Czy pan dłuższy czas w mieście zabawi?— rzekła obojętnie do byłego konkurenta.

— Zależać to będzie od zdrowia mojej ciotki,—odparł pan Fabian i zarumienił się, bo zdawało mu się, że tą odpowiedzią poruszył kwestyę spadkobierstwa.

— Więc karnawał w takim razie będzie smutny dla pana!—mówiła dalej obojętnie Ludwika.

— Zależy od tego, — odrzekł podrażniony pan Fabian—czego od karnawału żądamy. Jedni chcą tańców, a inni czują już pewne zadowolenie, gdy obowiązkom swoim zadość uczynili.

— Przecież karnawał niejest czasem przeznaczanym wyłącznie dla obowiązków!—zauważyła matka.

— Byłoby to bardzo wygodnie,—odpowiedział pan Fabian,—gdyby obowiązki tylko do pewnego czasu dały się ograniczać!

— Zdaje mi się,—wtrąciła z ironią Ludwika,—że obowiązek pana dla chorej ciotki nie jest tak bardzo uciążliwy!...

Pan Fabian smutno spojrział na Ludwikę.

— Pani wyrządzasz mi krzywdę—rzekł z boleścią—jeżeli za temi słowy chowasz jaką myślenie złośliwą!

— Uchowaj Boże,—podjęła szybko Ludwika,—aby słowa moje kryły jaką złośliwość. Nie mam powodu być dla pana inną, niżeli jestem dla innych. Złośliwość mogłaby oznaczać jakąś źle ukrytą pretensję, a takiej nie mam do pana!

Pan Fabian jeszcze bardziej posmutniał.

— Mej przyjaciel wtrącił dłużnik,—chciał tylko powiedzieć, że protestuje przeciw możliwemu zarzutowi egoizmu!

— Dzisiaj najlepiej być egoistą,—odrzekła

z lekkim uśmiechem Ludwika,—a pan Fabian pojmie dobrze moją radę! Pan Fabian zarumienił się.

— Rady pani, —odparł żywo,—przyjąłbym wszystkie bez zastrzeżenia, oprócz tej jednej, którą pani chcesz mnie poniżyć!

— Przepraszam pana,—rzekła z cierpkim uśmiechem Ludwika—zapomniałam, że pan dzisiaj stoisz na wyższym poziomie, z którego niżyc się panu nie podobna.

W ten sposób prowadzono jeszcze czas niejaki taką podjazdową rozmowę, która przecież długo trwać nie mogła. Wszyscy byli w położeniu nienormalnem. Niemiły fakt niedawnej przeszłości i zmienione warunki obecności krępowały swobodę. Każdy starał się stosownie do zmienionej sytuacji zająć stanowisko jak najodpowiedniejsze, a inni tłumaczyli to sobie inaczej, stosownie do swego własnego usposobienia.

Ludwika uważała za swej obowiązek nie okazywać w tej chwili byłemu konkurentowi prawdziwego stanu swego serca, aby sobie nie ubliżyć podejrzeniem, że z widoków na spodziewaną jego sukcesję zmieniała swej afekt. Prócz tego podejrzewała go o złośliwy tryumf, że przychodzi do niej z aureolą spodziewanych dostatków, aby jej sercu sprawić zasłużone wyrzuty!

Rodzice Ludwiki mieli także podobne skru

puły. Nie chcieli popełnić niezręczności, że wzbogaconego konkurenta łapią, bo taka niezręczność pomogłaby mu tylko do prędszej ucieczki.

Przy tak sprzecznych nieporozumieniach, nie można było dłużej rozmowy prowadzić. Pożegnano się dosyć zimno.

Najpocziwiej i z całą sumiennością wytłómaczył sobie tę zimną wizytę pan Fabian.

Gdy już kilkadziesiąt kroków na ulicy razem uszli, zatrzymał się pan Fabian i rzekł do przyjaciela dłużnika:

— Czy nie miałem słuszności? Czy nie powiedziałem, że idę tam po to, aby po raz drugi obaczyć te samą obojętność dla mnie, jaką pożegnano mnie przed rokiem?.. Ale to rzecz bardzo naturalna. Szlachetna kobieta może tylko wtedy kochać mężczyznę, jeżeli ten dorównywa jej w szlachetności. A cóż ja szlachetnego uczyniłem, aby być jej godnym?..

Nic nie zrobiłem, a gdy wtedy do czegoś szlachetniejszego się porwałem, popsułem to zaraz swoim samochwalstwem! Gdybym miał więcej szlachetności w sobie, byłoby to inaczej wypadło. A tak nie mam żadnego prawa żądać od Ludwiki miłości, i dziwnie nawet wygląda, jeżeli o tem myślę! Nie prawdaż?

Przyjaciel patrzył smutno na zapamiętałego w poczciwości swojej człowieka.

— Mam zbyt wysokie o sercach kobiecych

wyobrażenie,—rzekł po chwili—niech tylko objawi się światu cyfra spodziewanego spadkobierstwa ..

Zdawało się, że pan Fabian powziął w tej chwili jakiś niedobry zamiar względem kołnierza swego przyjaciela, bo tenże nagle o dwa kroki odsunął się od niego.

— Nie zmuszaj mnie do przekroczenia granic przyjaźni,—rzekł pan Fabian po chwili, i oddalił się jeszcze więcej od przyjaciela, aby nie mieć żadnej pokusy,—nie zmuszaj mnie do tego, bo to byłoby więcej bolesnem dla mnie niżeli dla ciebie. Ludwika jest ideałem kobiety... i wziąłbym nawet jej za złe, gdyby takiego niezdarnego i maluczkiego człowieczka, jakim jestem, ukochać chciała!..

— Zkądże weźmiesz materiału do bohaterstwa?—z ironią zapytał przyjaciel.

— Otoż to całe nieszczęście, że go nie mam pod ręką,—odpowiedział smutno pan Fabian.— Gdyby to było w czasach napadów tatarskich albo wojen krzyżowych... ale dzisiaj, gdy bohaterstwem może być tylko mała i niepokazna praca, która w oczy nie uderza, coż można zrobić?

Pan Fabian zasmucił się i podał przyjacielowi rękę na pożegnanie. Przyjaciel zasmucił się także, bo liryczny nastrój pana Fabiana pozbawił go spodziewanego wspólnego obiadku.

Tymczasem poszedł pan Fabian prostą drogą

nie myśląc wcale o obiedzie. Widok Ludwiki, która w głębi jego serca mieszkała, naprowadził go na myśli wcale różne od tych, które do obiadu prowadzą.

Przypomniał sobie dawne swoje marzenia i rozmowy o tych marzeniach z Michaliną, która mu tyle serdecznej przyjaźni zawsze okazywała!

Powziął myśl odwiedzić teraz Michalinę i podawnemu otworzyć przed nią swoje serce zbolełe.

Michalina była przyjaciółką Ludwiki, nie mógł więc wszystkiego przed nią jasno wypowiedzieć; ale już samo zbliżenie się do osoby, która była powiernicą jego ideału, było dla niego rozkoszą.

Spojrzał na zegarek, i po krótkim namyśle szparkim krokiem poszedł naprzód.

Ciotka Michaliny wstała była dopiero z łóżka, na którym po wczorajszej zabawie odpoczywała. W pokoju jadalnym zastała już Michalinę zupełnie ubraną.

Michalina miała dzisiaj twarz bledszą niżeli zwykle. Piękne usta zacisnęły się a zmarszczki na czole okazywały, że wesoły humorek spadł dzisiaj niżej zera.

— Mówiła mi Nastueia,—rzekła ciotka,—żeś dzisiaj wcale nie spała! Trzeba było trochę zasnąć, bo to szkodzi cerze twarzy.  
— Dziwne wyobrażenie masz ciocia o śnie!—

odpowiedziała szorstko Michalina—przecież sen nie zawisł od naszej woli!

— Domyślam się, o czym myślałaś. Jest to rzeczywiście nowina sensacyjna. Skromny przed rokiem człowieczek urósł nagle w bogatego epuzera!

— Przecież nikt mu jego bogactwa nie zazdrości!

— Nie mówie tego... ale przypominam sobie, że ten człowiek przed rokiem...

— Chciał się mnie oświadczyć. Wyraźnie zmierzał do tego, ale zwoঁciłam jego zapał do Luni!

— Szkoda!.. Gdyby można było przewidzieć!

— Któż mógł przewidzieć!.. Przecież panna Agata przez dwa lata kochała się w panu Marku i nie mogła przeczuć, że matka jego ma pełny garnek starych portugałów... Dała mu w końcu odkosza..., a on dzisiaj po śmierci matki kupił dwie kamienice!

— Pan Fabian sam był niezręczny, przecież mógłby choć jedno słówko o tej bezdziejnej ciotce bąknąć!..

— Zdaje się, że sam nie wiedział... dowiadywałam się wczoraj o różnych szczegółach!

— W takim razie i ty nic mogłaś wnosić...

— Ani do głowy mi nie przyszło! Zresztą pan Fabian nie zdawał się być stworzony na człowieka bogatego! Czy nie prawda?

— To prawda... ale zawsze w takim razie,

jeżeli się nie wie, kto co ma, to trzeba jakoś dyplomatycznie z nim się obchodzić, aby na każdy przypadek być przygotowanym!

— Tutaj przecież nie można było nawet ludzić się. Przecież nieraz mówiliśmy o tem.

— Szkoda, wielka szkoda, że tak się stało!

— Zdaje mi się, że rzecz nie byłaby stracona.

— Czy sądzisz?...

— Mam przekonanie, że gdyby się zbliżył...

— Gdyby tylko Ludwika...

— Nio obawiam się tego. Ludwika jest tak ekscentryczna, że właśnie dla tych zmienionych warunków materyalnych pana Fabiana...

— Czyż mogłaby być takim dzieckiem?

— Ona jest taką!

Milczenie głębokie nastąpiło w pokoju. Dwa serca rozszerzyły się jakimś rozkosznym marzeniem i dwa westchnienia wyszły z piersi lekko wezbranych.

Służący zapowiedział pana Fabiana. Obie kobiety spojrzały z radośnym zadziwieniem na siebie.

— Zostawię cię samą,—szepnęła ciotka, i szybko odeszła do przyległego pokoju.

Michalina spojrzała tymczasem do zwierciadła i naprędce poprawiła włosów. Twarz jej ożywiła się nagle, piękne usta otoczył uśmiej ujmujący.

Do salonu wszedł pan Fabian.

— Witam pana serdecznie,—rzekła do nie



go Michalina podając mu drobną rączkę—miałam przecucie, że pan dzisiaj przyjdiesz!

— Byłbym to jeszcze przedwczoraj uczynił, — odpowiedział z powagą pan Fabian, — gdyby wyższe nad zwykłą przyjaźń obowiązki nie stanęły mi w drodze!

— Nad zwykłą przyjaźń?—powtórzyła z kaprysiem Michalina i cofnęła drobną rączkę— wytłómacz się pan z tych słów niezręcznych!

— Niech to pani bynajmniej nie gniewa,— odparł pan Fabian ułowiwszy uciekającą rączkę i złożywszy na niej poważny pocałunek— niech to pani nie gniewa, że się tak wyraziłem. Przyjaźń pani wysoko cenię, ale pani jesteście zdrową i dobrze wyglądasz. Mam jednak chorą i sparaliżowaną ciotkę, nad którą czuwać muszę!

Michalina uśmiechnęła się na tak poważne tłumaczenie się pana Fabiana.

— Powiadasz pan dla swego niewinnienia, że jestem zdrową i dobrze wyglądam. Gdybym chciała być dla pana tak szczerą i otwartą jak dawniej, musiałabym coś powiedzieć, co by może pana w zarozumiałość wprowadziło!

— Zarozumiałość nie jest moją wadą, mimo to chciałbym panią widzieć tak szczerą i otwartą jak dawniej!

— Nie... to być nie może! Byłoby to może śmiesznem dla pana...

— Żadna rzecz dobra nie wydała mi się nigdy śmieszną!

— Pytanie, czy to byłaby rzecz dobra...

— Pani budzisz we mnie ciekawość!

— U mężczyzn wszystko kończy się na zaspokojeniu ciekawości!

— Niesłuszną, miarą mierzysz mnie pani.

— Jeżeli koniecznie jesteś pan tak natarczywym .. to może pana zapytać, czy na zmianę naszej twarzy nie może wpłynąć zjawienie się upragnionego gościa?

Pan Fabian pomyślał chwil kilka.

— Masz pani słuszność,—rzekł po chwili,— jeżeli kto komu szczerze i otwarcie sprzyja, to niepodobna, aby to nie odbiło się na jego twarzy!

Michalina skrzywiła twarz z lekkim kaprysiem.

— Jakże zimnych używasz pan słów do odmalowania tego, co z natury swojej jest gorącym.

— Może jestem niezręcznym kolorystą—odpowiedział szybko pan Fabian,—ale to co wymawiam czuję może goręcej od innych!

Michalina podała mu swoją rączkę za odpowiedź i głębokiem wejrzeniem spojrzała na niego.

— Nie zawiodło mnie moje przecucie,—rzekła po chwili, —że pan nie zmazałeś w pamięci swojej tego, co nam wspólnie tyle przyjemnych chwil przypominać powinno!

Pan Fabian westchnął głęboko. Był przekonany, że te słowa przyjaciółki Ludwiki odnoszą

się do rozkosznych marzeń jego, zakończonych tak smutnym zawodem.

— Przyznam się pani,—odpowiedział,—że tych wspomnień nie dałbym sobie tak łatwo z duszy wydrzeć. Czemże stałoby się życie nasze, gdyby przed sobą nie miało wspomnień, owych gwiazd jasnych, które nam niegdyś tak rozkosznie na drogę naszej pielgrzymki świeciły! Bez takich wspomnień byłoby życie nasze tylko pracą mechaniczną, rezultatem nakręconej maszyny!

Pan Fabian spuścił smutno głowę.

— Pan mówisz o wspomnieniach—rzekła po chwili Michalina —o wspomnieniach gwiazd zagasłych... przecież prawdziwe gwiazdy nigdy nie gasną! Był to zapewne jakiś fałszywy ognik, który pan wzięłeś za gwiazdę...

Pan Fabian smutno uśmiechnął się.

— A tym sposobem —mówiła dalej Michalina—wyrządzasz pan krzywdę owym prawdziwym gwiazdom, które bynajmniej nie zgasty dla pana!...

Twarz pana Fabiana rozpromieniła się. Sięgnął po rączkę Michaliny a całując ją odrzekł:

— Składam pani dzięki za te słowa, na które może nie zasłużyłem. Gdyby tak było w istocie jak pani mówisz, byłbym najszcześliwszym człowiekiem.

Michalina ścisnęła silnie dłoń pana Fabiana długi czas wpatrywała się w jego niebieskie oczy.

Zdaje się, że Michalina podejrzewał teraz pana Fabiana, że do kogo innego swoje słowa odnosi. Być może, że pan Fabian mówiąc te słowa miał Ludwikę na myśli. Ale wodzona miłość własna nie pozwalała Michalinie dłużej pozostać przy tem podejrzaniu. Przelotne spojrzenie do zwierciadła utwierdziło ją w dobrym mniemaniu o sobie. Twarz jej była w tej chwili zachwycająca: lica zarumieniły się, oczy błyszczały jasnym ogniem, usta uśmiechały się rozkosznie...

— Czy pan to mówisz... z jaką myślą ubocz ną?—zapytała po chwili niepewnym, drżącym głosem.

— Uchowaj Boże!—odparł żywo pan Fabian—nigdy ubocznymi drogami nie chodzę, a to co czuję, wymawiam wprost po nazwisku. Być może tylko, że moje marzenia za głośno wymówiłem, do jakich, mówiąc prawdę, nigdy może prawa nie miałem!

— Co pan nazywasz prawem? —powoli zapytała Michalina, zatapiając w jego oczy głębokie spojrzenie.

— Mężczyzna,—mówił z namysłem pan Fabian — zbliżając się do serca kobiety, musi wprzód mieć pewne prawo do tego.

— Powiedz mi pan to jaśniej.

— Jeżeli mężczyzna chce, aby kobieta go ukochała, musi być godzien jej miłości!

— Któż wie, jak i kiedy miłość się rodzi?

— Chwila, w której się miłość rodzi, może być niedostrzczoną, ale niemniej istnieje ona. Jest to chwila, w której przed okiem kobiety otwiera się wewnętrzna istota człowieka, która ją zachwyca. Tylko taka podstawa tworzy prawdziwą, nierozrwaną miłość, wszystko inne jest złudzeniem!

— Przecież i na balu, w tańcu można sprawić pewne ważenie...

— To też takie mamy dzisiaj małżeństwa. Poznali się przy kotylionie, mówili z sobą trochę na rautach wielkopostnych... on w białym krawacie z szapoklakiem pod pachą, ona w olbrzymiej fryzurze z ogonem kometowym... a po Wielkiejnocy idą do ślubu. Po ślubie mówią po salonach o wielkiej miłości, jaką ku sobie nowożeńcy pałają, a po dwóch latach szepczą sobie do ucha, że się rozchodzą, bo się nie dobrali!...

— Pan jesteś pesymistą, a to panu nie do twarzy!

— Mówię tylko z boleścią o tem, czego mi samemu nie dostaje. Modnie, jak to wyżej opisałem, nie chce się ożenić, a do serca szlachetnej kobiety nie mam prawa!

— Jakież pan chcesz mieć prawo?

— Prawo, jakie nadaje mężczyźnie jego szlachetna, wewnętrzna istota, która jedynie wzbudza prawdziwą miłość u kobiety.

Michalina zacisnęła usta, aby się nie roześmiać z takiego pojmowania serca kobiecego.

— Czegóż pan potrzebujesz do uszlachetnienia tej wewnętrznej istoty swojej?—zapytała po chwili z udaną powagą.  
— Czynów szlachetnych i prawych, spełnienia surowych obowiązków i pracy dla ogółu pożytecznej, bez których każdy mężczyzna jest tylko mało znaczącym zerem!  
— Jak pan seryo myślisz! Kobiety tego nie lubią!.. Lepiej pan zrobisz, jeżeli mi jutro przyślesz lub sam przyniesiesz piękny, duży bukiet, w którym byłyby kamelie białe i różowe... Rozumiesz pan?  
Pan Fabian przypomniał sobie, że Ludwika powiedziała mu raz przed balem, iż lubi kamelie białe i różowe... Twarz jego rozjaśniła się, ucałował z zapałem drobną rączkę Michaliny, a spojrzawszy na zegarek przestraszył się, że tak długo zostawił chorą starszkę bez opieki.  
— Spiesz pan do ciotki,—szepnęła mu Michalina z uśmiechem na drogę—bo wypełnienie takich obowiązków może uszlachetnić wewnętrzną pana istotę, która potem potrafi zniewolić jakie ładne serduszko...  
— Dla czego pani mówisz „jakie?”  
— To dopowiedz pan sam sobie lepiej!—dodała na progu Michalina i pożegnała gościa namiętnym ścisnieniem ręki.

### III.

Nazajutrz stał na stoliku w buduarze Michaliny ładny bukiet, w którym jaśniały kamelie białe i różowe. Michalina okazywała te kamelie gościom swoim i mówiła o panu Fabianie bardzo życzliwie. Za kilka dni zwiędły kwiaty i trzeba je było z buduaru usunąć. Na ich miejsce stanęły świeże, między którymi królowały znowu białe i różowe kamelie. I stało się, że bukiet z białych i różowych kamelii był nieśmiertelny w buduarze Michaliny. Co kilka dni przynosił go własnoręcznie pan Fabian i z niewypowiedzianą rozkoszą lokował na stoliku. Ta punktualna regularność w dostarczaniu w pewnym oznaczonym czasie świeżych bukietów, mogła słusznie w obec trybunału kobiecego rzucić na pana Fabiana podejrzenie, że jest zdeklarowanym konkurentem Michaliny. Tak przynajmniej te bukiety wytlómaczyła sobie ciotka, potem sama Michalina, a za nią poszły wszystkie jej znajome. Pan Fabian nie wiedział wcale jaką sobie

stworzył sytuację przez ową punktualność w odświeżaniu bukietów. Nie był bowiem biegłym w dzisiejszym piśmie afektów serdecznych. O bukietach miał jeszcze zbyt zacofane wyobrażenie. Lubił kwiaty i wiedział o tem, że kobiety także kwiaty lubią. Wiedział, że kwiatek podany ręką mężczyzny lub kobiety może być tlómaczem pięknego uczucia lub myśli szlachetnej, ale nigdy z tem nie mógł się pogodzić, aby kupiony u ogrodnika gotowy bukiet i kobiecie posłany, wystarczał jej za dostateczny objaw afektu. Nie mógł tego nigdy pojąć, że są ludzie, którzy temu zapłaconemu pośrednikowi całą walkę o zdobycie serca powierzają, a sami cofają się wygodnie na plan dalszy. Również nie rozumiał tego pan Fabian, że nawet często między narzeczonymi jedynym łącznikiem są takie bukiety. Dla narzeczonych otwartą jest przecież już brama do ich wspólnego świata, czyż mało zajęcia ma dla nich ten świat wspólnych przyszłych ich trudów i rozkoszy? Czyż tam nie można się zejść i wspólnie porozumiewać, zamiast to porozumienie i pamięć wzajemną powierzać wygodnie kupionym u ogrodnika bukietom? Pan Fabian nigdy temu nie wierzył, że może być para narzeczona, której nic z sobą nie wiąże, jak tylko regularne posyłanie bukietów! Wygodna to zdawkowa moneta serca!., a zwyczaj światowy tak ją w kurs wprowadził!, że

w najbliższej przyszłości otworzą, się osobne kantory do załatwiania spraw miłości tak samo, jak się załatwiają sprawy pogrzebu ukochanych osób podług cenników odpowiednich przedsiębiorców.

Pan Fabian stał się nawet raz bardzo śmiesznym w towarzystwie kobiet, że położonych na ołtarzu miłości zasług pana Izydora nie umiał należycie ocenić Pan Izydor bowiem skracając sobie nudny czas swego narzeczeństwa, wybrał się na cały miesiąc na polowanie i karty do wesołych swoich towarzyszy, ale żeby zwyczajowi zadość uczynić, zastawił lokajowi pieniądze, za które był tenże obowiązany codziennie bukiet kupić i narzeczonej zanieść!

Kobiety śmiały się z pana Fabiana, który tego zrozumieć nie mógł, a unosiły się nad panem Izydorem, który dowiódł tak wielkiego przywiązania dla swojej narzeczonej.

To też przez takie niezrozumienie rzeczy i zwyczaju popadł pan Fabian w nader kłopotliwe nieporozumienie z otaczającym go światem.

Kamelie białe i różowe, które co kilka dni do buduaru Michajiny przynosił, rzuciły na niego bardzo słuszne podejrzenie, że o jej rękę starać się zamyśla. Do tego jeszcze przyczyniła się jego rozmowa nader niejasna i powściągliwa, co już samo przez się ma być cechą starającego się kawalera, jak to nieraz utrzymywała Michalina. Według jej teorii każdy konkurent

niepewny skutku traci potrzebną, w towarzystwie swobodę, i staje się często w rozmowach swoich nie tylko niejasnym co do przedmiotu, ale często nawet i co do logiki...

it o

W rozmowie z panem Fabianem doszła nie raz Michalina do pewnej granicy, o której nie wiedziała, czy jest granicą zdrowego jego rozsądku, czy też wielkiego afektu, który często i najmędrszemu człowiekowi zdrowy rozsądek odejmuje.

A wszystko to było skutkiem prostego nieporozumienia, które pan Fabian przez dziwny swej antagonizm do dzisiejszych torów śmiał sprowadzić.

Pan Fabian bowiem wierzył, że każda przyjaźń jest świętą i nienaruszalną. Wiedział, że Michalina jest przyjaciółką Ludwiki, i że taką pozostanie aż do końca życia. Wierzył także, że i jemu sprzyja więcej z przyjaźni dla Ludwiki niżeli z afektu dla niego samego. Na tym więc fundamencie oparł swej afekt dla Michaliny, a sumienie jego nie czyniło mu żadnego wyrzutu, że takim afektem wyrządza krzywdę Ludwice.

Pan Fabian kochał Ludwikę szczerze i sumiennie, mimo jej pozornego oporu. Opór ten wytlómaczył sobie bardzo szlachetnie. Zdawało mu się, że je?t niegodzien jej wzajemności, i ubolewał, że jednostajność dzisiejszego życia nie może mu nastręczyć sposobności, któraby podnieść go mogła na wyższy poziom.

Zbliżenie się jego do Ludwiki przekonało go, że nie myli się w mniemaniu o sobie. Nie mając więc żadnej wyraźnej nadziei, która mogłaby go do stanowczego kroku zachęcić, poprzestał na pewnym pośrednim okazywaniu jej swojego niezmiennego afektu.

Pośrednikiem tym nie mógł być nikt inny jak tylko przyjaciółka Ludwiki, Michalina.

Pan Fabian jednak nie chciał użyć Michaliny za prostą pośredniczkę w sprawach serdecznych w zwykłym znaczeniu tego słowa, i nie chciał dawać jej różnych zleceń i misyj jako parlamentarzowi dla porozumienia się z twierdzą obłąkaną. Daleko subtelniej i poetyczniej pojmował takie pośrednictwo. Zdawało mu się, że samo zbliżenie się do przyjaciółki i powiernicy ukochanej osoby było już niejako pośrednim zbliżeniem do niej samej. Rozmowa z nią była niejako maskowaną rozmową z Ludwiką, bo wierna przyjaciółka, jak mniemał pan Fabian, nie mogła nic z tej rozmowy dla siebie zatrzymać.

Zresztą, jeżeli mile patrzymy na rzecz ulubioną przez istotę wybraną, dla czegoż niemożliibyśmy zbliżyć się do przyjaciółki tej istoty wybranej?

Gdy pan Fabian naprzeciw Michaliny siedział i w jej twarz patrzył, doznawał bardzo miłego wzruszenia myśląc, że na tę twarz patrzy Ludwika, i że ściska tę samą co i on rączkę!...

Gdy mu Michalina o białych i różowych kameliach powiedziała, pan Fabian był pewny, że to jest aluzja do Ludwika i oburącz chwycił się tej myśli, bo ona była dla niego tak rozkoszna! Michalina, według jego mniemania, chciała dać mu sposobność przypomnienia się Ludwice, bo przecież Ludwika, która te kamelie co dzień na stoliku swojej przyjaciółki widzieć mogła, nie mogła tego nic zrozumieć, że temi kwiatami jej się przypomina!.. Ztąd też pochodziła ta punktualność w odświeżaniu tych kwiatów, bo to była dzisiaj dla pana Fabiana jedyna sposobność, która pozwalała mu dowieść Ludwice, że o niej nigdy nie zapomniał! Nie mając żadnych, jak mniemał, bezpośrednich praw do serca Ludwika, nigdy z Michaliną wyraźnie o niej nie mówił, a nawet wystrzegał się wymówić jej nazwisko. Rozmowa więc mogła się tylko toczyć na polu ogólnym. Rozmawiano o sercu i jego uczuciach, o smutkach i wspomnieniach, o potrzebie wzajemnej miłości i porozumieniu się dusz, wreszcie o nadziei, która jak cień trzyma się nawet najniezwyklejszego człowieka. Pan Fabian naumyślnie unikał jaśniejszej rozmowy, bo skrytych marzeń swoich, dla których miał cześć prawie religijną, nie chciał dotykać zwykłym, towarzyskim słowem, chociażby to słowo wyjść miało z pięknych ust

przyjaciółki ukochanej osoby. Dla tego uciekał zawsze na pole rzeczy ogólnych, jeżeli Michalina chciała go zmusić do słów wyraźniejszych, ale ucieczka ta była często tak niejasna, że Michalina mogła ją sobie na swoją korzyść wytłumaczyć.

Zresztą nic chodziło Michalinie o pewną jasność obowiązującą. O testamencie staruszki jeszcze nic nie wiedziała, a chociaż regent Pafnucy z największymi szczegółami ciotce zdał sprawę z majątku, którego interesa prowadził, nie można jednak było bezwzględnie tej sprawie zaufać.

Było więc i dla Michaliny wygodnie, że pan Fabian tylko stanowisko swoje należycie zaznaczył, a kroku stanowczego dotąd nie zrobił. Można więc było w danym razie cofnąć się, jeżeli byłoby potrzeba.

Dla czego zaś Michalina przy znanym swoim sprycie taki gruby błąd popełniła, nie trudno odgadnąć. Zakryła jej oczy—miłość własna.

Michalina była piękną, nie była ubogą, miała cały stos wspomnień swoich tryumfów— i tylko kiedy niekiedy sprytniejszy od niej mężczyzna wymknął się z nastawionych sieci! Pan Fabian jednak, według niej, nie tylko nie był sprytnym, ale nawet zdradzał oznaki pewnej naiwności, która zazwyczaj taką ofiarę przykuwa łańcuchem nierozzerwanym do rydwanu tryumfatorki!...

Michalina nie przeżyłaby tej zniewagi, gdyby jej ktoś zaprzeczył wdzięków i sprytu do podbicia serca takiego człowieka, jakim był pan Fabian. Ona lwy mogła zwyciężać, a co dopiero takiego niepokąźnego szaraka? Ta miłość własna oślepiła Michalinę i rozbudziła w jej sercu marzenie, że pan Fabian jest już jej niewolnikiem, wprawdzie nie bardzo zgrabnym, ale za to niemniej uległym.

Przytem wyrozumował sobie, że taka sytuacja nie rozrywa bynajmniej stosunków przyjaźni z Ludwiką. Chodziła do niej często, rozmawiała z nią jak dawniej, i bynajmniej się z tem nie tała, że pan Fabian prawie co drugi dzień (według ulubionego jej wyrażenia) jak febra do niej przychodzi.

Twarz Luni bladła trochę na wspomnienie pana Fabiana, a nawet usteczka jej zaciskały się boleśnie, gdy Michalina o jego wizytach mówiła; ale przyjaciółce nie miała nic do wyrzucenia, bo pana Fabiana sama, dobrowolnie niegdyś się wyrzekła, a dzisiaj niepodobna było wócić do niego, gdy się stał konkurentem bogatym.

Czasem przypominała sobie, że to Michalina właściwie namówiła ją do odrzucenia oferty byłego konkurenta, ale dzisiaj nie chciała o tem z nią mówić, bo to mogłoby oznaczać, że żałuje go teraz, gdy się stał bogatym. Pewna nawet cierpkość domieszała się teraz u niej do wspomnień o byłym konkurencie.

Pan Fabian mógł teraz nawet zwrócić się do Michaliny, bo Michalina była bogatszą od niej...

Lunia kładła przy tej myśli prawą rękę na sercu i przyciskała ją silnie do piersi, bo tam w tem sercu coś ją mocno bolało w tej chwili...

A przez mgłę boleści widziała uchodzącą postać byłego konkurenta w zarysach tak pięknych i powabnych, w jakich widzimy to wszystko, co od nas odchodzi!...

Tymczasem ponad ciasną sferą egoistycznych marzeń Michaliny i ponad przepaścią bezdenną cichych smutków i boleści Ludwika roztaczała, szeroko obojętne koła swoje opinia publiczna.

Te koła tak samo przechodziły po biednych ofiarach jak i po zagonach kwiatami marzeń zasłanych... a ludzie pilnie rejestrowali to wszystko, co przed sobą widzieli!

A przed sobą między innemi mieli blizkie, prawdopodobne małżeństwo pana Fabiana z Michaliną.

Michalinie składano już nawet zewsząd przychylnie życzenia, które tem świetniej się przedstawiały, im więcej pogorszał się stan sparaliżowanej staruszki...

Michalina nie odpieszała tych życzeń w sposób urzędowy, opinia więc kroczyła systematycznie dalej i tak samo łączyła ją już w kościele PP. Wizytę z panem Fabianem, jak niegdyś tegoż samego szczęśliwego człowieka

widziała na stopniach ołtarza u . Franciszkanów.

I pan Fabian nie mógł w obec takiej opinii pozostać głuchym. I do jego uszu doszło coś, i jemu wieszowano tak ładnej i sprytnej żony, jaką będzie Michalina...

Pan Fabian słuchał tego wszystkiego cierpliwie i milczał!

Cieszyło go to niezmiernie, że tym razem, jak Adam za drzewo figowe, skrył się przed opinią publiczną i przed nią utajone marzenia swoje bardzo zręcznie zasłonił!...

Uśmiechał się z rozkoszy, że tak mu się dobrze udało, i wierzył, że tak samo i Michalina się uśmiecha, gdy widzi zbląkaną ciekawość ludzką! Raz nawet, chociaż nie bardzo jasno, wspomniął o tem jako człowiek sumienny

Michalinie, ale Michalina roześmiała się rzeczywiście i rzekła:

— Nie zważaj pan na to!

— Nic tak boleśnie skrytych marzeń nie dotyka jak ta ciekawość ludzka!—myślał sobie w duchu pan Fabian i śmiał się szczerze, że tę ciekawość, która mu ongi tak dokuczyła, tym razem w pole wywiódł!...

Gdy tak pan Fabian pośrednio swego szczęścia używał i przed przyjaciółką Luni ze swoich szlachetnych wzruszeń się spowiadał, w mniemaniu, że przed samą Lunią wewnętrzną swoją

istotę tym sposobem odsłania, rozchodziły się pomiędzy znajomymi coraz pewniejsze wieści o mniemaniu jego spadkobierstwie.

Pan regent Pafnucy powołany kilka razy w tej kwestyi do staruszki, słyszał z własnych jej ust, że ma woje nieprzymuszoną zapisać wszystko dla ukochanego pana Fabiana.

Regent Pafnucy nie robił z tego tajemnicy, a że stan mienia staruszki znał doskonale, więc mógł w tym względzie ciekawość wszystkich ludzi zaspokoić.

Była zatem słuszna podstawa do mniemania, że pan Fabian w każdym razie jest świetną partyą, a Michalinie jaśniały oczy z radości gdy o tem z ciotką mówiła.

— Ale co na to Lunia powie?—rzekła raz ciotka z uśmiechem.

— Przecież dla pięknych oczu Luni nie będę mego własnego szczęścia poświęcała,—odpowiedziała Michalina—i tak mam pierwsze prawo do niego, bo pierwaj do mnie się zwrócił!

Lekkie westchnienie, które teraz pierś jej białą podniosło, mogło oznaczać pewną niecierpliwość, z jaką wyglądała końca ostatecznego rozwiązania tej sprawy.

Zdawało się, że Opatrzność uwzględniła tę niecierpliwość piersi dziewiczej, bo jeszcze tego samego wieczora zapadła mocniej biedna staruszka i kazała zawołać regenta Pafnucego waz z uproszonymi świadkami.

Zapalono świece i spuszczone story u okien.

Do komnaty weszli świadkowie z regentem.

Zastali tam pana Fabiana, który chustką oczy ocierał...

Staruszka kazała starannie drzwi zamknąć...

Przez dwie godziny trwało spisanie ostatniej woli bezdzietnej staruszki...

Przez grube drzwi dolatywały na korytarz pojedyncze, niezrozumiałe słowa...

Pan Fabian mówił najwięcej... jemu odpowiadał żywo regent Pafnucy... mówili i świadkowie, tylko głosu staruszki nie można było dosłyszyć...

Po dwóch godzinach otworzone drzwi i zażądano księdza.

Staruszka była spokojna a twarz miała nawet rozjaśnioną. Trzymała rękę na głowie klęczącego przy łóżku Fabiana...

Pan Fabian miał twarz zarumienioną i oczy czerwone. Łzy lały się potokiem po jego licach, ale mimo boleści i smutku było tam widać tak piękny wyraz jakiegoś głębokiego ukojenia, jakiego tylko może doznać człowiek po spełnieniu szlachetnego czynu.

Pan Fabian był z tym wyrazem tak piękny, tak cudownie błyszczało jego oko, i tak uroczą była cała jego postać, jakiej nawet trudno znaleźć w najpyzniejszym salonie, z szapoklakiem pod pachą i w białej chustce pod szyją!..

Regent opieczętował testament, i według ży

czenia testatorki prosił świadków o milczenie do pewnego czasu.

Kapłan przyszedł z wiatykiem... staruszka z całą przytomnością wypowiedziała się z grzechów swoich, a położywszy jeszcze raz rękę na głowę pana Fabiana, zasnęła na wieki.

Michalina przez dwa dni była zamyślona. Nie była w tych dniach ani w teatrze, ani na żadnych tańcach. Ubierała się czarno, aby tym sposobem dać panu Fabianowi naoczny dowód, że razem z nim podziela smutek głęboki. Nawet w buduarze swym wiele zmieniła. Aby pana Fabiana, gdy przyjdzie, nie raziły kolory jaskrawe, kazała przemienić portyerę i firanki, by i w tych drobnych rzeczach mógł widzieć jej serce współczujące, jej duszę tkliwą. Nawet obrazy wesołej treści znikły ze ścian a zastąpiły je inne poważne.

Tak upłynęło dni kilka, w których przygotowywała się Michalina do przyjęcia pana Fabiana odpowiednim nastrojem tak wewnętrznym jak i zewnętrznym.

Psuła jej czasem ten poważny nastrej ciotka, która co kilka godzin znosiła z miasta wieści o wysokości pozostałego po nieboszczce majątku. Majątek ten sięgał cyfr bardzo poważnych, a prawie wszystkie panny na wydaniu zazdrościły Michalinie tak świetnej partyi...

o bladookiej Luni niewdzięczni ludzie już prawie zapomnieli!

i stało się wescie, że dnia czwartego w buduarze Michaliny zjawił się pan Fabian.

Michalina chodziła właśnie szerokimi krokami po pokoju. Miała czarną suknię z francuzkiego kaszmiru z długim ogonem. Biały tyłko, angielskiego kroju kołnierzyk świadczył, że to nie była gruba, urzędowa żałoba, do której jeszcze nie miała prawa.

Pan Fabian był także czarno ubrany. Na jego twarzy widać było boleść przebytą, ale po za tą boleścią był wyraz tak promieniejący, tak wysoki i szlachetny okazywał nastroj duszy, z jakim tylko może zdążyć człowiek do blizkiego już a tak upragnionego portu szczęścia.

Michalina widziała w tych oznakach tak jasnych i swoje blizkie szczęście...

W rękę trzymał pan Fabian bukiet, ale tylko z samych białych kamelij.

— Łatwo pani pojmiesz—rzekł od progu— dla czego dzisiaj tylko białe kamelie przynoszę, bo kolor różowy byłby niestosowny dla mego smutku!

Michalina ścisnęła go serdecznie za rękę.

— Czerwony kolor raziłby i mnie dzisiaj— odpowiedziała dźwięcznym głosem—i jak pan widzisz, oddaliłam go wszędzie z mego widoku!

Pan Fabian spojrział z zadowoleniem do koła.

— Nie w:em zaiste,—rzekł po chwili,—czem obie zarobiłem u pani na tyle przyjaźni dobroci..

— Jesteś pan człowiekiem zacnym i pocziwym, a to mi wystarcza... prócz tego...

Prócz tego nic we mnie więcej niema, wierzaj mi pani! Jestem zupełnie pospolitym i zwyczajnym i to może... jest całe moje nieszczęście!

— Jeżeli kto umiał sobie zjednać czyje serce... to już nie może powiedzieć, że jest nieszczęśliwym!

Pan Fabian odetchnął całą piersią.

— Gdyby tak było w istocie!—rzekł po chwili, i smutno głowę zwiesił.

Michalina przysunęła do niego fotel. Pan Fabian wyglądał dzisiaj tak niezwykle! Tyle szlachetności było w jego twarzy, tyle pięknego wyrazu w całej jego postaci, że Michalina uczuła pewne rozdrażnienie serca, jakiego dotąd nawet nie znała.

Położyła dłoń na jego rękę... uczuła, że jej ręka zadrzała.

— Nie mów tak panie Fabianie—szepnęła z cicha, — bo komuś wielką, bardzo wielką krzywdę wyrządzasz!.. Czy pan nic nie czujesz?

I drobna rączka zadrzała znowu w szerokiej ciloni pana Fabiana.

— Pytasz mnie pani, czy ja co czuję?—odpowiedział żywo pan Fabian, odsuwając instynktowo drobną rączkę na bok—pytasz mnie pani, czy ja co czuję? Czyż koniecznie mam przed panią wypowiedzieć to, co w mej duszy usta

wicznie we i kipi, a czego nawet sani przed sobą nigdy głośno nie wymówiłem? Cóżby się stało z moich słów wypowiedzianych? Możeby komu wydały się śmieszne, wydały się komedia.

— Rzuć pan zasłonę na to, co było!

— Na wszystko moge zarzucić zasłonę, moge nawet wiele przebaczyć ludziom, bo ludzie nie są aniołami i mogą się mylić, ale... ale nie mógłbym zapomnieć o tem, co dzisiaj jest jeszcze jedynem, chociaż oddalonym marzeniem mojem!..

Michalina przysunęła jeszcze bliżej swej fotel do fotelu pana Fabiana.

— Czegóż marzenia swoje oddalasz pan tak daleko od siebie?—szepnęła drżącym głosem, bo jej głos zadrzał teraz rzeczywistość.

— Czyż to odemnie zależy?—odpowiedział jakby we śnie pan Fabian.

— Mówię panu... że to tylko od pana zależy!— szepnęła Michalina i lekko zarumieniona spuściła oczy.



Pan Fabian roziskrzonem. okiem spojrzął przed siebie.

— Odemnie zależy?—powtórzył z rozrzewnieniem—gdyby to tylko odemnie zależało!

— Czyż panu niedosyć tego co pan słyszysz, i co pan widzisz?..

— Słyszę słowa czarujące. . a widzę... widzę przed sobą obraz takiego szczęścia, jakiego mogliby mi zazdrościć aniołowie w niebie!

— I pan swemu szczęściu w tej chwili jeszcze nie wierzysz?

— Niech mnie pani nie wiedzie na pokuszenie, bo wiara w zbytęcną łaskę Boga jest grzechem.

— Jesteś pan strasznie nieśmiały!

— Pokaż mi pani brzeg nadziei, a przepłynę Bosfor!

— Nadzieja przecież jest bliższa od brzegów Bosforu!

Michalina położyła znowu swoją rączkę na ręce pana Fabiana.

— To fata morgana, które mi pani okazujesz!—westchnął pan Fabian z całych piersi.

— Bynajmniej nie fata morgana,—odparła Michalina z lekkim naciskiem ręki—to rzeczywistość panie Fabianie!... Pan jesteś kochany... mocno kochany!

Zarumieniła się twarz pana Fabiana i przybrała kolor brązu. Uściskał silnie małą rączkę.

— Pani powiadasz, że jestem kochany?—zawołał głosem jak metal dźwięcznym.

— Tak... — cicho wyrzekła Michalina z twarzą lekko zarumienioną—pan jesteś rzeczywiście kochany!

— Czy pani nie igrasz tylko słowami?

— Patrz pan na mnie!

Michalina miała teraz twarz zmienioną. Znikła z niej pusta wesołość, nawet dowcipny uśmiech gdzieś się schował... rzewne, kłiwe uczucie rozlane było w jej całej postaci.

Czuła w sercu dziwne rozdrażnienie. . zdawało się jej, że rzeczywiście w tej chwili kocha! Pan Fabian z uwagą spojrzął na nią.

— Widzę,—mówił po chwili,—że pani nie chcesz mnie łudzić. Obawiam się jednak, że pani sama siebie łudzisz!

— To co wyrzekłam, wyrzekłam po należytem zastanowieniu się. Nic niema boleńszego jak siebie a potem drugiego oszukać!

Pan Fabian zamyślił się głęboko.

— Pani powiadasz, że jestem kochany—rzekł po chwili—a umie tak trudno uwierzyć we własne szczęście!

— Wielu... bardzo wielu zazdrości panu!—szepnęli zarumieniona Michalina.

— Gdybym mógł mieć jaki taki dowód tego, eo pani mówisz, oszalałbym z radości.

— Od pana zależy żądać dowodu!

Pierś Michaliny podniosła się głębokiem westchnieniem.

Pan Fabian potarł ręką po czole jak człowiek, który ze snu chce się koniecznie obudzić.

Po chwili wyprostował się, wziął Michalinę za rękę i rzekł drżącym głosem:

— Dajesz mi pani jasny dowód, że sprawą mego serca jesteś do głębi duszy wzruszona. W tem uczuciu widzę nawet więcej niżeli zwykłą przyjaźń...

Ręka Michaliny zadrżała.

— Widzę ciemną chmurkę na niebie moich

marzeń—mówił dalej z powagą pan Fabian,— która jednak może się rozplątać...

— Jaka chmurka?—ciekawie zapytała Michalina podnosząc oczy.

— Oby w drodze do mego szczęścia nie stało jakie nieporozumienie!

— Jakie nieporozumienie?

— W sprawach serca musi przede wszystkim być sytuacja jasna.

— Nie przeczę, że takiej potrzeba koniecznie. Michalina zaczęła się bawić wstążką.

— Sumienie moje, —mówił dalej pan Fabian,— każe mi przede wszystkim wypowiadać się ze wszystkiego! Moja ciotka umarła przed kilku dniami...

Pan Fabian umilkł tutaj.

— Po mieście obiegają rozmaite wieści z tego powodu—mówił dalej.

— Zapewne jest powód do tych wieści—cicho wyszepnęła Michalina nie podnosząc oczu

— Ciotka moja zostawiła znaczny majątek..

— Cyfry rażą innie w tej chwili!

— Jestem spadkobiercą.

— Dla czego pan o tem ze mną mówisz?

— Bo w takiej sytuacji człowiek powinien dać się sumiennie odważyć, ile wart jest!

— Niegdyś mówiłeś pan tylko o wewnętrznej istocie człowieka...

— Nie chcę, aby dzisiaj ktoś do niej niepotrzebnie zewnętrzną wagę dorzucił!

— Więc słucham pana!

— Otoż jestem tylko spadkobiercą szlachetnej myśli mojej ciotki!

— Jak to myśli?

— Majątek realny zapisała ciotka na cele publiczne!

— Na cele publiczne... cały majątek!

— Cały!

Michalina zbladła i cofnęła rękę.

Długie milczenie zapanowało w pokoju.

Pan Fabian z rozrzewnieniem patrzył przed siebie; po twarzy Michaliny przechodził jakiś kurcz bolesny, który stłumić usiłowała.

— Widzę,—ozwał się po chwili pan Fabian,— że ta wiadomość sprawiła na pani niedobre wrażenie.

Michalina odetchnęła głęboko.

— Było to tylko wrażenie niespodziewane— odrzekła cicho głosem zmienionym.

— Dla czego niespodziewane? Czy bogobojni ludzie podobnych legatów nie robią?

— Tak... ale zdawało mi się że nieboszczka powinna była przede wszystkim pamiętać o swoich krewnych!

Twarz pana Fabiana ożywiła się. Chciał coś powiedzieć, oko jego zapaliło się... ale zacisnął usta i zamilkł.

— Taka była wola nieboszczki!—rzekł po chwili.

— Wola nierozsądna! — mówiła Michalina jakby do myśli swoich.

Pan Fabian nie mógł się teraz wstrzymać. Wyprostował się jak człowiek pewny siebie i rzekł:

— Pozwolisz pani, że tę rzecz bliżej wyjaśnię. Ciotka moja zapisała cały swej majątek wynoszący przeszło półmiliona...

— Pół miliona!

— Tak jest... pół miliona, na cele publiczne. Taka była jej wola i jej postanowienie. Ponieważ zaś ja... z tą wolą jej zupełnie się zgadzam, więc będę w stanie wyjaśnić pani bliżej to postanowienie mojej ciotki.

Michalina siedziała na fotelu jak martwa statua. Oparła głowę o poręcz i zamyslonem okiem patrzyła przed siebie.

Pan Fabian zaczął z powagą:

— Ktokolwiekbądź z uwagą przypatrywał się spadkom majątków pochodzących od dalekich krewnych, ten niezawodnie musiał przyjść do przekonania, że pod tym względem w prawie naszym zwyczajowem jest pewna luka...

Michalina z zadziwieniem spejrzała na pana Fabiana. Uśmiech szyderczy zaigrałnej ustach.

Sumienny obrońca legatu swojej krewnej mówił dalej z niezwałczoną powagą:

— Dzieci mogą mieć słuszne prawo do majątku swoich rodziców. Żyją w tym majątku a czasem przyczyniają się do jego konserwacji. Jest on już niejako podstawą ich bytu społecznego. Ale inna rzecz z majątkiem dalekich kre-

wnych! Spada on często przez dziwny zbieg okoliczności na ludzi, którzy w innej zupełnie sferze żyją i takiego spadku nawet nigdy się nie spodziewali. I cóż się z taką fortuną zazwyczaj dzieje? Oto spada nagle z nieba ludziom, którzy na nią niczem sobie nie zasłużyli, o niej nawet czasem nie wiedzieli, lub co gorsza, z utęsknieniem i w bezczynności na nią czekali!... Taki porządek rzeczy jest demoralizujący... Próżniak i utracyusz wyczekuje niecierpliwie, nic nie robiąc, śmierci wujaszka lub ciotki, a dostawszy spadek puszcza go najczęściej na cztery wiatry, bo na niego nic pracował, bo pracą osobista do niego się nie przywiązał!... A często nawet spadek podobny wyrywa pocziwych i pracujących ludzi z przyrodzonej ich sfery i stawia ich na stanowisko tak śmieszne, że tego bynajmniej szczęściem nazwać nic można! Pocziwy i zacny Staszic pojął to dobrze, i dla tego bratu sweinu, który był czeladnikiem młynarskim, kupił młyn na własność, przez co wielce go uszczęśliwił, a milionowy swej majątek oddał na cele publiczne!

Michalina zerwała się z fotelu. — Widać, że to pan podsunałeś zapewne tę myśi szlachetną swojej krewnej! — rzekła z pewną ironią.

Pan Fabian milczał chwil kilka. Zdaje się, że odbywał z sobą jakąś walkę. Sumiennosc może kazała mu prawdę powiedzieć, a jednak nie

chciał tego uczynić, aby go znowu nie posądzono o samochwalstwo.

Wybrał więc drogę pośrednią.

— Mówię tylko o testamencie mojej ciotki i objaśniam go, — odpowiedział z powagą.

— Jakiz jest ten cel publiczny, na który poszedł majątek?

— Kształcenie specjalnych rzemieślników za granicą, abyśmy u siebie mogli zaspakajać potrzeby życia!

— I pan zgodziłeś się na to?

— Krewna moja mogła swoim majątkiem rozrzędzić jak jej się podobało. Ja na tem nic nie tracę, bo tego spadku nigdy się nie spodziewałem. Mam własną fortunę, która mi wystarcza.

Michalina zbladła i zacisnęła usta. Przed nią zamiast bogatego konkurenta stał zwykły pan Fabian, ten sam, jakim był przed rokiem, gdy się z niego do pęku śmiała. Wprawdzie miał pan Fabian w tej chwili bardzo ładny wyraz na twarzy, oczy jego świeciły się jasnym blaskiem, ale Michalina tego wszystkiego nie widziała! Co jej po tych wszystkich blaskach duszy, jeżeli po za tem nie ma spodziewanych dostatków?.

Jakże przykre było teraz położenie Michaliny! Nagle usunął się giunt, na którym wszystko budowała! Czemże był dla niej ten człowiek bez spodziewanej sukcesyi?

Możnaby wprost z nim zerwać... nic cóż powiedzą na to ludzie?

Powiedzą, że łapała go, gdy myślała, że będzie bogaty, a dzisiaj odepchnęła go, jak się odpycha jaki przedmiot niepotrzebny, stojący na drodze...

Nie—taka opinia, przy innych jeszcze względach mogłaby jej bardzo, bardzo zaszkodzić!.

Ale coż zrobić z tym niezdarnym człowiekiem?

Jasna jakaś myśl przebiegła po jej czole...

Z twarzą uśmiechniętą usiadła na fotelu przy panu Fabianie, który na nią patrzył z niepokojem.

— To, co na twarzy pani widzę, zasmuca mnie—rzekł do niej z rozrzewnieniem—czyż po mojej sumiennej spowiedzi mniej wart jestem niżeli przedtem?

— Bynajmniej—odpowiedziała słodko Michalina—zaniepokoilo mnie tylko możliwe nieporozumienie między nami!

— Nieporozumienie?—zapytał z ciekawością pan Fabian.

— Tak jest... nieporozumienie,—mówiła ze spuszczonei oczyma Michalina—a takie nieporozumienie byłoby dla mnie tem boleśniesz, im bardziej biedną Ludwikę kocham!

— Mów pani! Mów pani!—wołał pan Fabian.

— Jestem wielką przyjaciółką Luni... robiłam dla niej wiele, bardzo wiele... może więcej niżeli powinnam była... i obawiam się, czy nie dałam jakiego fałszywego pozoru.

— Uchowaj Boże! Pani Ludwice w niczem nie ubliżyłaś!

— Jestem tego przekonania, że pan rozmawiając ze mną, rozmawiałeś tylko... z przyjaciółką Ludwiki!

Pan Fabian był teraz w kłopotcie. Jakkolwiek w tej mierze zgadzał się z Michaliną, nie chciał jej jednak wprost ubliżyć.

— Nie tylko do przyjaciółki panny Ludwiki mówiłem—rzekł po chwili,—ale mówiłem także do mojej przyjaciółki!

Michalina ścisnęła go za rękę.

— Ale wszystkie słowa tej przyjaciółki chciej pan odnieść do Ludwiki! —rzekła do niego z wyrazem pewnej obawy.

Pan Fabian patrzył niejakiś czas z zadziwieniem na nią. Mowa jej była dla niego niejasną. Przecież on zawsze tylko Ludwikę miał na myśli, i to, co Michalina mówiła, do niej odnosił!

W przypuszczeniu, że Michalina posądza go o kogo innego, położył rękę na piersi i rzekł:

— Przysięgam na Boga, że nawet w marzeniach nie ubliżyłem nigdy moim wspomnieniom, i pannę Ludwikę kocham tą samą miłością, co dawniej!

Złośliwy uśmiech wykrzywił piękną twarz Michaliny. Pan Fabian ugodził boleśnie jej własną miłość... on nigdy nie był nią zajęty... on tylko przy niej o Ludwice marzył...

Michalina chciała niegrzecznemu konkurentowi jakieś niegrzeczne słowo powiedzieć, ale

przypomniała sobie, że ta wierność pana Fabiana dla Luni jest dzisiaj dla niej jedynym wyjściem z tej przykrej sytuacji.

Będzie to nietylko wygodnym płaszczem odwrotu od pana Fabiana, ale nawet może mieć pozory pewnego bohaterstwa, że dla przyjaciółki swojej tyle zrobiła, służąc jej za pośrednie ogniwo przysłego ich związku!

Złośliwy uśmiech zmieniła na uśmiech pogodny, podała małą rączkę z wdziękiem panu Fabianowi i rzekła:

— Powiedziałeś pan, że Lunie kochasz jak dawniej. Dziękuję panu za to szczere wyznanie i upewniam pana, że Lunia tak samo ucieszy się tem wyznaniem, jak ja się teraz cieszę!..

Ścisnęła go za rękę serdecznie i „do szczęśliwego zobaczenia pożegnała.

Gdy uszczęśliwiony pan Fabian po schodach na dół schodził, rzuciła się Michalina na fotel i twarz rękoma zakryła. Kurcz bolesny wzruszał jej piersią, łzy płynęły po twarzy.

Tyle dni, tyle marzeń, tyle snów straconych!. Śniło się rozkosznie o jaskrawych skrzydłach motylka, a tymczasem gąsienica pozostała gąsienicą!

Michalina zerwała się ma nogi. Weszła ciotka, która w drugim pokoju wszystko słyszała.

— Co za nieszczęście!—rzekła i załamała rękę.

- Jeszcze dobrze, że i tak się stało!—odpowiedziała Michalina.
- Ale okazało się, że on o tobie nie myślał!
- To jest najlepsze z tego wszystkiego! To mnie ocali od złych języków!
- Ale czy Lunia zgodzi się na to?
- Trzeba natychmiast iść do niej i ją przygotować!
- Oby ci się udało!

Za chwilę była już Michalina w drodze do Luni.

W domu Luni powtarzała się właśnie scena, która od niejakiego czasu stała na porządku dziennym.

Jedne i te same widma trwożyły teraz nieustannie zasmuconą rodzinę.

Przez kilka lat żyło się w stolicy nad stan majątkowy, zdobyto stosunki nad możność utrzymania się przy nich dłużej, a z tych stosunków nie było dotąd żadnego rezultatu.

Lunia była bez konkurenta.

Fałszywa postawa domu odstraszyła tych, którzyby się do niej zbliżyć chcieli, a nie przyciągnęła innych, których właśnie miano na widoku. Nie brakło wprawdzie na młodzieńcach, którzy dla własnej rozrywki schodzili się na herbatkę; ale, prócz lekkiej szermierki słów i dowcipu, żaden z nich nie pokusił się dalej.

Na tle tak szarego horyzontu pojawiał się

w marzeniach samotnych od czasu do czasu pan Fabian, i jak to już wiadomo, w coraz lepszym oświetleniu.

Powody tego optycznego zjawiska były różne. U Luni wychodziło ono wprost z serca. Doświadczenia nauczyły ją cenić człowieka, który jakkolwiek na pierwszy rzut oka nie oczarował jej szykiem krawca lub fryzjera, przy bliższym jednak wpatreniu okazał prawdziwą zacność rzadkiej dzisiaj prostoty. A że naturą serca ludzkiego jest, przywiązywać się do tego, co się traci a o czym ludzie dobrze mówią, nic więc dziwnego, że Lunia w cichych snach swoich widziała postać pana Fabiana coraz jaśniejszą.

W tem samym położeniu był ojciec Luni, tylko inna droga zaprowadziła go do tego. Świadomość materialnej pozycji domu, kazała mu teraz żałować człowieka, który jakkolwiek podług zwykłych światowych wyobrażeń nie był świetną partya dla jedynaczki, jednak na dzisiejszym bezrybiu był zawsze przyzwoitym okazem.

Najjaśniej przedstawiał się teraz pan Fabian w wyobraźni matki. Matka Luni w danym konkurencie, opromienionym teraz bajeczną schedą, widziała ideał mężczyzny.

Pan Fabian miał więc w domu Luni bardzo korzystną pozycję i mógł bardzo łatwo do portu szczęścia dopłynąć, gdyby u samej Luni

nie był znalazł przeszkód nieprzewycięzonych.

A przeszkody te były bardzo naturalne.

Gdy Lunia po długiej walce serca i duszy przekonała się z rozkoszą, że pana Fabiana kochać może, i że go już kocha, stanęła przed nią zhora spadkobierstwa i drogę do szczęścia na zawsze zagroziła.

Po długim płaczu i nocach bezsennych, przyszła biedna, szlachetna dziewczyna do tego postanowienia, że lżej jej było zrobić z siebie ofiarę na całe życie, niżeli ściągnąć na siebie brzydki pozór rachunku, że biednemu konkurentowi dała odkosza a zbliżyła się do niego, gdy na niego spadła scheda bogata!..

Powziąwszy to postanowienie, rozpoczęła wewnętrzne trudną pracę rezygnacji.

Jest już w naturze człowieka, że każdą rezygnację, która jego egzystencji zagraża, usiłuje sobie różnym rozumowaniem a nawet sofisteryą ułatwić.

Tak też stało się i z Lunią. Postanowiwszy zrezygnować z pana Fabiana, zaczęła ułatwiać sobie tę rezygnację wmawiając w siebie różne rzeczy. Wyrozumowała sobie, że jeżeli pana Fabiana przy pierwszym oświadczeniu nie kochała, to i teraz nie może i nic powinna go kochać. Na tym gruncie oparła dalszą swoją pracę, a zbierając skrzętnie różne argumenta i argumenty, wmówiła w siebie, że rzeczywiście pana Fabiana nie kocha, i że o nim wcale myśleć nie potrzebuje!

Jakkolwiek piękna główka Luni z tego zwycięstwa dumną była a nawet śmiało do góry się podniosła, na twarzy jednak coraz więcej blednącej widać było uśmiech melancholijny, jakim zazwyczaj żegna się szczęście ulatujące!

Wspomnienie pana Fabiana, wywołane rozmową towarzyską, wywoływało zawsze rumieniec na tę twarz bladą, a z piersi dziewiczej wydobywało się wtedy mimowolne westchnienie, o którym główka nawet nic nie wiedziała!

Mimo rumieńca i westchnień miały jednak usta zawsze odpowiedź spokojną na pogotowiu, która wszelkim przypuszczeniom zaprzeczała.

I w końcu przyszła Lunią do tego av konsekwencya że słowom swoim, mimo wewnętrznego protestu, sama wierzyła.

Taka była sytuacja aa domu Luni, gdy Michalina wpadła zarumieniona do pokoiku przyjaciółki.

Lunia trzymała właśnie jakąś książkę av rękę i starała się z uwagą jakiś rozdział przeczytać. Trudno jej jednak było zdobyć się na tę uwagę! Myśli wylatywały gdzieś po za książkę... coś się ustawicznie wciskało między oczy i litery, a ruch na ulicy był widocznie dzisiaj wyjątkowy i przeszkadzał czytaniu.

Lunia podparła ręką głowę i zamyśliła się. Jakieś przyjemne marzenia okrasiały jej twarz bladą, patrzyła na nic z rozkoszą oczyma duszy, potem posunęła ręką po powietrzu, jakby te złote ptaszki od siebie spłoszyć chciała...

W tej chwili stanęła przed nią Michalina.

Podając rękę Luni, spojrzała z uwagą, na nią. Zdaje się, że na twarzy przyjaciółki obaczyła coś korzystnego dla siebie, bo uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Ciesz się mnie to,—rzekła z pieszczotą,—że cię widzę w usposobieniu niezwykłym. Sa rzeczy, których w chwilach powszednich należycie ocenić nie umiemy.

Lunia spojrzała z zadziwieniem na przyjaciółkę. W tych słowach nie poznawała Michaliny. Podejrzewając ją, że ma znowu ochotę rękę do jej serca włożyć i tam czegoś szukać, zamknęła prędko serce i z twarzą spokojną odrzekła:

— Mylisz się moja droga, zajmują mnie w tej chwili myśli bardzo powszednie! Myślę o tualecie na jutrzejszy wieczór!

— O tualecie myślisz w tej chwili?—gniewnie rzekła Michalina, bo takie myśli mogły jej szyki popsuć—nie spodziewałam się, że ze swojej idealnej wysokości tak nisko zeszłaś!

Smutny uśmiech okolił blade usta Luni.

— Nic przeczę temu, coś powiedziała—rzekła spokojnie—był czas, gdzie bawiłam się w idealne wyżyny... dzisiaj zeszłam na dół realny! Zrównałam się z tobą!

Michalina zacisnęła usta. Lunią wzięła Michalinę za rękę i spojrzała jej w oczy.

— Cóż ci te jest Misiu, że tak śpiewasz?— zawołała z wesołym śmiechem—przecież się nie zakochałaś bez wzajemności!

Usta Michaliny zadrżały z gniewu. Rola jej stawała się trudną, a nawet nie obiecywała pomyślnego skutku.

— Z niewczesnymi odzywasz się żartami... nie wiesz z czym przyszłam do ciebie!—rzekła po chwili.

— Z czemkolwiek bądź przyszłaś do mnie, zawsze powinno cię to cieszyć, że twoja nauka w las nie poszła! Widzisz, skorzystałam z niej!

— Jaka nauka?

— Nauka... ot aby życie brać lekko... aby zadawałać się drobnymi, codziennymi sukcesami... i nic więcej. W konsekwencji tej nauki myślałam właśnie o tualetcie na jutrzejszy wieczór.

Michalina z zadziwieniem patrzyła na Lunie, Dobry humor Luni i tak wyjątkowo usposobienie krzyżowały jej plany i groziły jej wielkim nieszczęściem. Gdyby bowiem Lunia po raz wtóry pana Fabiana odepchnęła, Michalina straciłaby podstawę swego ratunku w obec opinii publicznej.

Długo patrzyła na Lunie. Twarz Luni była tak spokojna, jej rezygnacja tak oczywista, że Michalina o mało nie krzyknęła z rozpacz.

— Nie pojmuję,—zawołała,—jak można o takich drobnostkach myśleć!

— Drobnostkach?!. Przecież dawniej nie były to u ciebie drobnostki! Mówiłaś ustawicznie, że każda panna powinna zbierać w około siebie jak najliczniejszy orszak wielbicieli, aby świat o niej nie zapomniał. Czemuż teraz masz mi za złe, że chociaż późno wchodzę na tór twojej nauki?..

— Gniewasz mnie taką mową. Gdybym nie wiedziała, że żartujesz, mogłabym uwierzyć że szydzisz ze mnie!

— Co było przed rokiem rzetelną nauką, nie może za rok stać się—szyderstwem!

— Trzeba się zawsze stosować do położenia!

— Dobrze mówisz! Przed rokiem było moje położenie inne, to też i ja byłam inną. Dzisiaj jest mi wygodnie z tem, czego od ciebie się nauczyłam!

— Nie wierzę temu!

— Weź moją rękę i przekonaj się, jak mi spokojnie pulsa biją! Szczerze ci powiadam, że takie powszednie, drobnostkowe życie jest najlepsze!

— To być nie może!—namiętnie zawołała Michalina—kobieta z tem nie może być szczęśliwą!

— Dla czego?—z zimnym uśmiechem zapytała Lunia.

— Dla tego... że jest kobietą. Kobieta potrzebuje do szczęścia głębszych, szlachetniejszych wzruszeń!

— Żartujesz sobie!... Przecież sama przeciw sobie mówić nie zechcesz?... Czy przypominasz sobie...

Łzy gniewu błysnęły w oczach Michaliny.

— Proszę cię, nie drażnij mnie taką mową! — rzekła głosem przytłumionym.

Lunia spojrzała w oczy przyjaciółki. Odgarnęła jej włosy z czoła i sympatycznym głosem zapytała:

— Czy masz jaki smutek Michasiu?... Czy może rzeczywiście biedne twoje serduszko... o jakże szczerze lituję się nad tobą! Kobieta nie powinna nigdy na prawdę kochać. Ona powinna tylko tak kochać, aby ta miłość, gdy się przerwie, nie sprawiała jej wielkiego zmartwienia. Kobiety z czasem przychodzą do takiej miłości, ale miłość ta nie jest już—pierwszą!.. Biedna Michasiu! Podejrzynam cię o pierwszą miłość!

Michalina czuła szyderstwo w tych słowach, ale sytuacji zmienić nie mogła. Plan jej był blizkim rozbicia, a wstyd i hańba nieunikniona!

Gorący strumień łez puścił się z jej oczu.

— Jesteś okrutna—rzekła wśród łkania—tak okrutnie pastwisz się nademną... a przecież ja jestem tobie tak życzliwą!...

— Zlituj się—odparła szybko Lunia—powiedz mi co ci jest... powiedz wszystko!  
— Przedewszystkiem chcę cię widzieć w innym usposobieniu!

— W jakim?  
— W takim, w jakim cię dawniej widywałam!  
— Nie rozumiem ciebie.  
— Chcę abyś weszła w siebie, w głębię serca swego i tam szukała owych pięknych i szlachetnych marzeń, bez jakich kobieta szczęśliwą, być nie może!  
— Dziwi mnie twoje żądanie. Po różnych doświadczeniach bolesnych chcesz, abym się stała znowu jak dawniej niedoświadczoną! Któż waga do dziecinnych mrzonek!  
— Są wspomnienia, których mrzonkami nazywać nie można!  
— Jeżeli nie weszły w rzeczywiste życie nasze, jest to dowodem, że były i pozostać muszą mrzonkami!  
— Przecież warunki życia zmieniają się.  
— A waz z dawnymi warunkami przepadają dawne marzenia.  
— Są przecież pewne uczucia nieśmiertelne!  
— Dziękuję ci za taką nieśmiertelność, jeżeli ona tylko przy pewnych warunkach żyć może.  
— Wyrządzasz krzywdę sobie i drugiej osobie.  
— Krzywdę?.., sobie i drugiej osobie?..  
— Przecież sama wyznałaś mi ongi, żeś kochała...  
— Żem kochała?... Być może... ale było to tylko złudzenie... nic więcej.  
— Nie było złudzeniem!—zawołała spazma

tycznie Michalina, widząc, że jej plan zupełnie się urywa.

Lunia nie mogła jej zrozumieć. Natrętność przyjaciółki zaczęła jej na prawdę dokuczać. Postanowiła szczerze zamknąć serce swoje i być zimną i obojętną, tak jak to już od niejakiego czasu praktykowała. Zimno i obojętnie rzekła do Michaliny;

— Jeżeli mnie prawdziwie kochasz, daj pokój wszystkim moim wspomnieniom, z którymi dawno rozbrat wzięłam. Nic mnie one dzisiaj nie obchodzą, a jeżeli szczerze mam ci powiedzieć, sprawiają mi przykrość. Porzućmy ten przedmiot.

— Nie wierzę, abyś była okrutną dla drugiej osoby.

— O kimże mówisz?

— O panu Fabianie.

Lunia rozśmiała się na całe gardło. Śmiech jej był szczery i serdeczny. Lekkiego dyssonansu nie dostrzegła w tej chwili Michalina.

— O panu Fabianie! cha, cha, cha! Zapomniałam nawet jak pan Fabian wygląda! Mówią, że się postarzał.

Michalina spojrzała z przestraszeniem na Lunie.

— Tak zimno mówisz o człowieku, który cię kochał nad życie?..

— Kochał nad życie?.. Przecież sama przed rokiem mówiłaś inaczej. Śmiałaś się z niego.

Michalina przygryzła usta aż do krwi.



— Wyrządziłam mu wielką krzywdę! On cię rzeczywiście kochał całą duszą. Takiej drugiej miłości nie znajdziesz. Błade usta Luni zadrgały nieznacznie. Zatrzymała oddech.

— Żartujesz sobie—rzekła po chwili spokojnie—mówmy o czym innym. Nie lubię wacać do wspomnień, które dzisiaj poprostu wydają mi się bardzo śmieszne.

— Więc pana Fabiana nie kochasz?—krzyknęła z rozpaczą Michalina.

— Jak chcesz, żebym go kochała dzisiaj, jeżeli go pierwej nie kochała?—ze śmiechem odpowiedziała Lunia i zdziwiona wzięła za rękę przyjaciółkę.

— Nie poznaję cię dzisiaj—rzekła—cóż ci na tem zależy, abym pana Fabiana kochała?

— Wiele, bardzo wiele mi na tem zależy!

— To być w żaden sposób nie może. Czyż chcesz abym się poprostu sprzedała?

— Sprzedała? Dla czego sprzedała?

— Przecież... przecież pan Fabian... jest dzisiaj tak bogaty!

Kurczowy uśmiech przebiegł po twarzy Michaliny.

— Bogaty?.. On nie jest bogaty!

— Niejest bogaty?... Przecież nieboszczka... —Nieboszczka krewnajego zapisała cały swej majątek na cele publiczne.

— Jak to?—krzyknęła Lunia, a twarz jej po

czerwieniała—pan Fabian nie otrzymał spadkobierstwa?..

— Mówią, że sam zrzekł się schedy!

Twarc Luni bladła i rumieniała się, pierś jej falowała jak wody wzburzone, brak jej było tchu, brak powietrza...

W tej chwili otworzyły się drzwi, a służący zapowiedział pana Fabiana.

Reszty domyśli się czytelnik. Dodać jednak muszę, że praca Michaliny nie była jeszcze skończona. Wiele jeszcze łez, zaklęć i pieszczot kosztowało protektorkę pana Fabiana, nim tenże mógł zająć dawne stanowisko konkurenta.

Dopiero gdy Lunia przekonała się, że pan Fabian jest tym samym co dawniej; gdy dowiedziała się, że legat krewnej przyszedł do skutku za wyraźną pana Fabiana namową, o czym pan Pafnucy i świadkowie nie omieszkali w sekrecie opinię publiczną oświecić: wtedy dopiero upokorzyła się harda dusza Luni przed człowiekiem, który w tej chwili stanął wyżej od niej.

Biedna Michalina! Czy nie widziała ona w tem kary za swoje postępowanie, że własnymi rękami i własnym kosztem musiała teraz dopomagać do dzieła, którego niegdyś tak wielką była nieprzyjaciółką?

Rodzice Luni, nauczeni smutnem doświadczeniem, zniżyli teraz, jak im się zdawało, wy

magania swoje i chętnie zgodzili się na wolny wybór córki.

Matce tylko trochę przykro było, że córka nic tak świetnie za mąż wychodzi, jak o tem dawniej marzyła...

Ślub odbył się u Sw. Krzyża a licznie zgromadzona publiczność z ciekawością patrzyła na człowieka, który półmilionowym spadkiem wzgardził dla dobra publicznego, i sam się nawet do tego nie przyznał.

Luni zdawało się, że bierze ślub z człowiekiem niezwyčajnym, bo tak wyraźnie mówiły spojrzenia obecnych.

Było to dla niej wielkiem, niesłychanem szczęściem.

Nikt nie był w tej chwili dla niej piękniejszy nad Fabiana.

Czystym, donośnym głosem przysięgła mu miłość i wierność ai do śmierci.

Czy druha jej, Michalina, pejdzie prędko w jej ślady?

Nie wiem.

Druha pana młodego, przyjaciel dłużnik,

coś bardzo często przez szkiełko na nią patrzy..

a że to jest człowiek z szykiem i ma znakomity

talent pożyczania pieniędzy... kto wie, co się

stać może...

Pożyczane a z szykiem wydawane pieniądze  
bardzo się podobają niektórym pannom...

Do zobaczenia!